

S 53 [44-45]

BIBLIOTEKA
ZARZĄDU GŁÓWNEGO
LIGI MORSKIEJ I KOLONJALNEJ

5.53
OPŁATA .POCZTOWA RYCZAŁEM

Nr. 44—45 BIBLIOTECZKA Nr. 44—45
HISTORYCZNO - GEOGRAFICZNA

Prof. dr. F. A. OSSENDOWSKI

Z cyklu „Polacy na szlakach świata“.

„CZARNY CZAROWNIK“
relacja z wyprawy do Afryki 1926 r.



CENA 60 GROSZY.

2/1/1
Pacze do nauk. Polskiej
Afryki

Prof. dr. F. A. OSSENDOWSKI

Zbuntowane i Zwyciężone

powieść fantastyczna

Spis tytułów: Dzień rozpaczy. Wyprawa statku „Ocean”. Żywy ładunek. Na przylądku Dobrej Nadzieji. Podróż połączonej eskadry. Koniec żaglowca Van-Hagen. Na wyspie djamentów. Kapitan Stenerson. Podwodni rozbójnicy. Na wyspie Harveya. Polarny potwór. W podziemnej krainie. Przypadkowe odkrycie. Istoty z dalekiej gwiazdy. W podziemiach niewolników. Ucieczka.

Wielobarwna okładka, 9 ilustracji. **Cena 95 gr.**

Prenumeratom naszym wysyłamy nie doliczając kosztu przesyłki po otrzymaniu (ewentualnie znaczkami) 95 gr.

Nr. 44—45 BIBLIOTECZKA Nr. 44—45
HISTORYCZNO - GEOGRAFICZNA

prof. dr. F. A. OSSENDOWSKI

Z cyklu „Polacy na szlakach świata”.

„CZARNY CZAROWNIK”

relacja z wyprawy do Afryki 1926 r.

168 / I
Nie kłamać —
bawiąc.



CBGIOŚ, ul. Twarda 51/5
tel. 22 69-78-773



Wa5150283

Nie nudzić —
ucząc.

~~BIBLIOTEKA
Zarządu Głównego
Ligi Morskiej i Kolonijalnej~~

T-wo Wyd. „Rój”, Warszawa, Kredytowa 1.
Konto czek. P. K. O. 9880.

397.

Cykl „Polacy na Szlakach świata”.

- 1 Wacław Sieroszewski — „Ciupasem na Syberję”.
- 2 „ „ — „Za kręgiem Polarnym”.
- 3 Wacław Przewłocki — „John Big Foot”.
- 4 Ossendowski — „Czarny Czarownik”.
- 5 P. Lot — „Biały burnus i czarne oczy”.

NASTĘPNIE UKAZĄ SIĘ:

- 6 Lepecki — „35.000 klm. przez lądy i morza”.
- 7 Gzowski — „Król Kirgiski Abda-Chan”.
- 8 „ — „Fakir z Namanganu”.
- 9 Saliński — „Z włóczęgi po Melanezji”.
- 10 Wacław Sieroszewski — „Wśród kosmatych ludzi”.



53

PRZEDMOWA

Zakończyłem drugą część swojej długiej wyprawy do Afryki.

Duża część czarnego kontynentu, a mianowicie — Marokko, Algier i Tunis — opisane w dwóch tomach p. t. „Płomienna północ“ i „Pod smaganiem Samumu“, z taką starannością i artyzmem wydane przez Wydawnictwo Polskie w Poznaniu, oraz cały obszar podzwrotnikowej Zachodniej Afryki, zawarty w łuku Nigru i Senegalu, pozostały już poza mną, zbadane przeze mnie i moich towarzyszy podróży w zakresie moich literackich i naukowych zadań.

Ponieważ społeczeństwo polskie dało dowody żywego zainteresowania się losami mojej wyprawy, uważam wprost za swój obowiązek, jako literat i podróżnik polski przed wydaniem wyczerpującego opisu naszych prac i przygód, dać krótkie sprawozdanie.

Narazie nie wiedziałem jeszcze, gdzie i kiedy będę mógł to uczynić, gdy właśnie otrzymałem zaproszenie od wydawnictwa „Rój“ na wypowiedzenie się w formie związanej o dokonanej podróży.

Za możliwość uczynienia tego wyrażam swoją wdzięczność wydawnictwu „Rój“.

F. Antoni Ossendowski.

Warszawa, czerwiec 1926 r.



Prof. Ossendowski przy zabitym przez niego bawole.

Rozdział I.

WROGA ZIEMIA

Gdy w r. 1924-ym podróżowaliśmy z moją żoną po północy Afryki, widziałem w Kartaginie nagrobek dawnych obywateli tego potężnego południa, gdzie żyją czarni, o długich ogo-przełożony na język francuski przez archeologów, a brzmiały:

„— Zrozpaczona rodzina złożyła tu zwłoki szlachetnego Sabała Garka, który dwakroć zapuszczał się w tchnące śmiercią lasy dalekiego południa, gdzie żyją czarni, o długich ogo-nach ludzie, walczący zatrutymi strzałami...”

Dalekie południe?

Sahara niemal do martwego Tanezruftu — tej pustyni pragnienia i rozpacz; Ifni, przytulona do zachodnich, zanurzających się w oceanie odnóg Wielkiego Atlasu; Sfaks, Gabes i Duirat, gdzie kwitły handlowe faktorje feni-cyjskie — nie były „dalekim południem” dla

przedsiębiorczych i odważnych potomków królowej Dido i mężnych rycerskich Barkidów. Nie mogli też kupcy i awanturnicy kartagińscy spotykać w tych krajach „czarnych o długich ogonach ludzi..”

Nie! to była Afryka podzwrotnikowa!

W Senegalii i w północnym Sudanie spotkać można i spotkałem istotnie ślady konkwistadorów z Kartaginy.

Nazwali oni tę ziemię — „tchnącą śmiercią”.

Wrażliwy na przejawy natury, skłonny do mistycyzmu i poetyckiego ujęcia rzeczy lud o krwi azjatyckiej — temi kilku słowami określił Afrykę podzwrotnikową.

Cały zachodni brzeg tego kontynentu, hen! od Sale i Rabatu, aż do Kotonu i Duali groźnie i niegościnnie wita przybyszów.

Daleko na oceanie spotykają się stada żarłocznych rekinów i zastępy śliskich, parzących niby kipiącym kwasem meduz i barwnych fizalij, o jadowitych mackach, niby wstęgi jaskrawe zwisających w szmaragdowym przeczczu głębi morskiej.

Im bliżej do brzegu, tem groźniejszą staje się niegościnna ziemia afrykańska.

Najeżonych czarnemi, poszarpanemi przez

fałę skałami, daleko wysuniętymi mieliznami, pokrytymi grubą warstwą muszel mięczaków, hufcami biało-grzywiastych bałwanów, osłania się Afryka przed najazdem obcych ludzi.

A gdy biały człowiek, ten wiekuisty włóczęga, co ze swej prakolebki powędrował na wszystkie strony świata, — przewycięży wszystko, ziemia ta ciśnie nań zastępy nowych wrogich sił.

Znam je wszystkie, bo walczyłem z nimi przez długie miesiące.

Wylądowaliśmy dwa razy — w Senegalu i w Gwinei, a wszędzie Afryka spotykała nas z zacieklą nienawiścią — nie ludzie, lecz natura sama — potężna, zdradliwa, nielitościwa.

Niby nieprzebrana kaskada rozpalonego i roztopionego do białości złota, leje słońce skądś z bliska swoje zabójcze promienie, które, zda się, nie wysuszają, lecz rozkładają krew, nużą mózg, drażnią nerwy.

Czarni ludzie, należący do niezliczonych ras murzyńskich, do tych wszystkich nieraz zupełnie zagadkowych szczepów, noszą w mózgu i we krwi wszelkie oznaki zatrucia „gorącym światłem“, jak nazywają słońce, tego swego wroga, którego za boga nigdy nie mieli.

Powolni w ruchach, o ostrym choć znękanym

wzroku, z niechęcią do wysiłku, obojętni dla polepszenia swego bytu, żyjący wyłącznie dniem dzisiejszym, marzący o tem, co już oddawna minęło, nie zaglądający w przyszłość, bo ona nic dobrego i nowego im przynieść nie może czarni ludzie żyją z dnia na dzień, czekając na chwilę wytchnienia, chociażby miało to być ostatnim spoczynkiem w rozpalonej ziemi, w cieniu rozpaczliwie łamiącego ręce — gałęzie potwornego, pokoszlawionego baobabu, podobnego do olbrzymiej kolumny, rodzącej szkaradne, ohydne w swych splotach węże, tworzące szaro-różową, nagą koronę drzewa.

Nigdy prawie nie da się tu słyszeć głośnej mowy, gwałtownych ruchów, kłótni lub bójki. Mężczyźni, leniwie rozparci, leżą w cieniu drzew mangowych lub w hamakach, zawieszonych pod niskimi okapami słomianych strzech ciemnych chat; kobiety półnagie lub malowniczo udrapowane w kawałki tkanin o szlachetnych barwach, w pięknie upiętych turbanach, idą chwiejnym, tanecznym krokiem poruszając zgrabnymi kibiciami, strzelistymi piersiami i wąskimi biodrami. Wydać może się, że oto upadnie za chwilę, znużona i wyczerpana, i usnie rozkosznie rozchyliwszy usta i opuściw-

szy niebiesko umalowane powieki na zawsze żądne, pałające oczy.

Biali koloniści i urzędnicy francuscy i angielscy w swych białych strojach i kaskach wyglądają jak widma, o bladych, prawie przezroczystych twarzach, o oczach zapadłych i podkutych, o drżących ustach i rękach.

Te blade istoty poruszają się żywo i energicznie, lecz w tej żywości wyczuć się daje wysiłek niemal nadludzki i gorączkowy pośpiech, aby pracę zakończyć przed chwilą najgroźniejszego niebezpieczeństwa. Jest niema południe, gdy pionowe promienie słońca przebijają jak strzały podwójne płótno namiotów i ubrań, wciskają się w najmniejszy otwór w kaskach, wrywają się szalonym potokiem przez szczeliny w dachach, ścianach i żaluzjach, trując ludzi jadem, wytwarzanym w ich własnej krwi.

Gdy miną trzy godziny największej spiekoty, rozpoczyna się na nowo gwałtowna praca z myślą, aby zakończyć ją przed zachodem słońca, spożyć obiad i ukryć się należycie przed wrogami nocnymi, licznymi a niebezpiecznymi.

Wieczorem bowiem, gdy słońce zgaśnie nagle, niby zalany wodą rozpalony, szalejący stos słomy, rzucają się na ludzi niewidzialne prawie, gryzące, wpełzające do nosa, oczu i

uszu muszki, niosące febrę moskity, ohydne taranty — jaszczurki, palące ciało wyrzucaną z siebie ciecżą, jadowite pająki, skolopendry, czarne i czerwone stonogi, żarłoczne mrówki i latające dookoła z przeraźliwym piskiem nietoperze—wampiry. Inne hufce wrogów niszczą dobytek białych ludzi. Są to myszy i szczury, krwiożercze wiwery i dzikie koty, jadowite węże i olbrzymie pytony, duszące krowy i konie, jakieś podobne do kulek pajęczyny owady, w ciągu jednej nocy pożerające odzież i bieliznę; tajemnicze termity, burzące drewniane domy, meble, obuwie bo nic oprócz metalu oprzeć im się nie zdoła...

Duszną, gorącą noc przechodzi, miotającemu się bezładnie europejczykowi pod gęstą siatką, zwisającą z sufitu nad jego łóżem, w strumieniach potu, bez nadziei, że noc przyniesie mu kilka godzin wytchnienia i spokoju.

W podróży białemu człowiekowi grożą inne plągi. Zarażona śpiączką, dotkliwie tnąca mucha tse-tse, ogromne bąki tak zwane „bawole muchy“, wnoszące do krwi ludzkiej nieznaną zarazkę, bakterje różnych chorób naskórnych i żołądkowych, porażenie słoneczne; w wodzie rzek i potoków czyhają na europejczyka krokodyle i gorszy od nich robak gwinejski, mno-

żący się ze straszliwą szybkością pod skórą ludzi; z drzew spadają na podróżnego duże kleszcze, wpijające się w ciało, i jadowite pająki...

Ciągłe „memento mori” wisi nad podróżnikiem w postaci dużego sępa, tego sanitariusza Afryki, szarpiącego i zjadającego wszelkie trupy—czy to człowieka, czy stratowanej kołami samochodu lub kopytami konia — myszy.

Na tle tej wrogiej przyrody wre zacięta, zażarta walka o byt.

Walka bezwzględna i krwawa.

W głębi oceanu i zatoki Gwinejskiej za latającymi rybami i młodem tuńcami uganiają się zębate dorady i delfiny, ścigane przez rekiny.

W kniei leśnej, w gąszczu krzaków i trzciny wre walka bezlitosna.

Nie obawiają się jej tylko słonie, lecz ich pewność siebie rozpraszają pułapki, zastawiane przez murzynów i niszczące kule białych myśliwych.

Antylopy i bawoły ostrożnie się skradają do brzegu rzek na wodopój, i podszedłszy nagle uskakują na bok, słuchają i patrzą z trwogą, gdyż nie wiedzą czy nie czai się czasem gdzieś w pobliżu podstępna pantera i mocarny, bezgrzywiasty lew. Gepardy, serwale, dzikie koty

i krwiożercze wiwery krążą w haszczach i biada antylopie, dzikowi lub zającowi, jeśli nie zwęszy wroga, bo wtedy zaledwie kości i strzępki skóry pozostaną na miejscu tragicznego spotkania.

Na ciałach zabitych przez nas hipopotamów znaleźliśmy straszliwe pasożyty, żywcem zjadające te olbrzymy wodne, a bawoły są wprost pożerane przez duże szaro-żółte kleszcze i straszliwe muchy.

Podczas jednego z polowań miał miejsce następujący wypadek. Myśliwy — murzyn zaczął naśladować głos małej czarnej antylopy — samki. Na te podstępne wołania zjawił się i padł od kuli samiec, — lecz na to żalosne beczenie zjawili się inni mieszkańcy dżungli — pantera, długi na pięć metrów pyton, a nad tem wszystkim krążył duży, czarny orzeł.

Tuż przy samej ziemi wre inna walka. Tam biją się o pożywienie miliardy mrówek i termitów, z ich zawiłą organizacją i z ich robotnikami, królami i wojownikami. Tam się wznoszą potężne zamki obronne i budują się genialnie pomyślane podziemne labirynty, a wokoło nich staczane są bitwy termitów z mrówkami czerwonymi, czarnymi, małymi i dużymi, z mrówkami —

włóczęgami, z termitami innych gatunków i okolic.

Całe obszerne połacie ziemi stają się nieraz terenami zaciętych walk. Widziałem w lasach dolnej Gwinei setki, tysiące gniazd termitów, gniazd różnych form architektonicznych, które sobie od tych owadów zapożyczają murzyni, a te gniazda były atakowane i oblegane przez „mrówki-trupy”, gatunek wydzielający nieznośny fetor padliny, zmuszający termity do opuszczania swych grodów, zamków i gniazd.

Widziałem w Gwinei, a najpóźniej na wybrzeżu Kości Słoniowej pochód mrówek nazywanych tu „manjan”.

Mrówki te perjodycznie porzucają zajęte przez się tereny i odbywają dalekie wyprawy po pożywienie, lub w poszukiwaniu nowych miejsc zamieszkania.

Miljony tych drobnych istot suną przez lasy i sawannę, bronione z boków przez oddziały walecznych i pełnych poświęcenia wojowników. Wszystko, nawet biali koloniści, pierzchają przed najściem „manjan”, porzucają domy, wsie, uprowadzając ze sobą bydło i unosząc dobytek. Biada człowiekowi lub zwierzęciu, jeżeli pozostanie na drodze pochodu tych drobnych istotek. Gdy byliśmy na górzystych wys-

pach Los, pokazywano nam celę, w której „manjan” pożarły zamkniętego w niej furjata i, pozostawiwszy tylko szkielet, powędrowały dalej, ku im tylko znanemu celowi.

Przed dwoma miesiącami w dziewiczym lesie, otaczającym brzegi rzeki Bandama, widziałem ten straszliwy pochód i popłoch, który sprawia on wśród ludzi miejscowych. Była to czarna wstęga, długa niemal na kilometr, i szeroka na kilkanaście metrów. Gdy szedłem na tyłach tej armii „manjan” zrozumiałem zbiorową siłę masy. Bielejące kości różnych zwierząt — kretów, mysz, palmowych wiewiórek, dzikich kotów i jakiegoś większego zwierza znaczyły drogę tego straszliwego pochodu.

Gniazda innych mrówek i termitów pustoszały po przejściu „manjan” część ich mieszkańców uciekała, reszta ginęła w nierównej walce.

Spotykałem drzewa, na których nigdy nie siedają ptaki i motyle, bo drzewa te należą niepodzielnie do nowego gatunku termitów, mających gniazda swoje pod korą, którą pokrywają cienką warstwą czerwonawej ziemi, przeciętej niewidzialnymi korytarzami z sunącemi w nich hufcami obrońców gniazda.

Strasznym jest kontynent Afryki, straszny i wrogi istnieniu na nim człowieka!

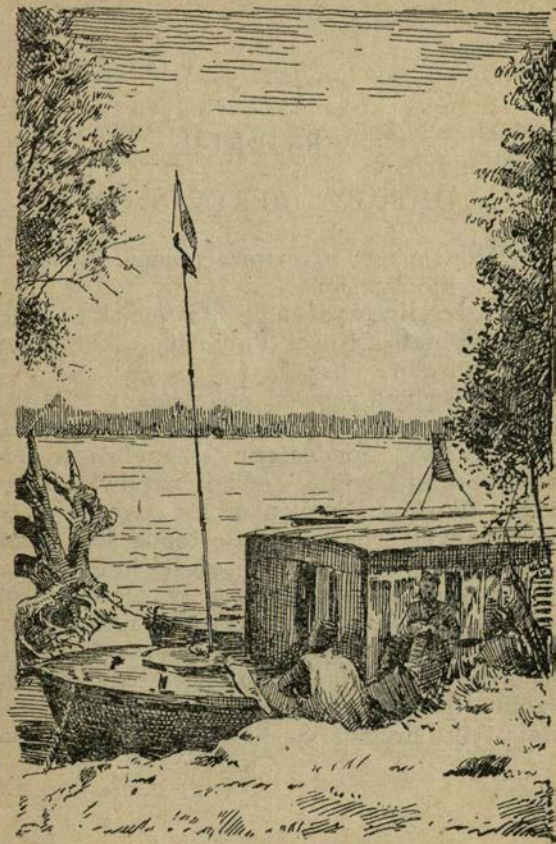
Może dlatego tak trudno znaleźć tu ślady pierwotnych mieszkańców, bo wszystkie te szczepy murzyńskie nie pochodzą z tych samych geograficznych szerokości, lecz przyszły tu skądś, pomieszały się między sobą, wchłonęły w siebie krew arabską, berberyjską, semicką z żył fenicjan kartagińskich, wreszcie krew cięższej rasy — mając za dalekich przodków metysów portugalskich, hiszpańskich, francuskich, angielskich, coraz bardziej zanikających w czarnem środowisku murzyńskim.

Natura usiłuje tu włożyć w każdy żyjący organizm pierwiastek zaniku i śmierci. Wymierają, karłowacieją, degenerują się poszczególne szczepy. Fauna drobnoustrojów: bakcyle febry, śpiączki, dezynterji, woli. hipertrofji kości i mięśni i setki innych, nieraz nieznanych lekarzom chorób, dziesiątkuje ludność, zabijając w niej radość życia chęć bytowania na tej wrogiej przeklętej ziemi.

Wspaniałe zwierzęta puszczy afrykańskiej, których prawie się nie ima najpotężniejsza kula karabinowa, gdy ugodzone śmiertelnie padną nareszcie — w ciągu kilku minut są już rozkładającym się trupem, a barwne motyle i koniki polne z ran zabitego zwierza żarłocznie wysysają krew.

Śmierć tu czai się nietylko w nieprzebytych
haszczach dżungli, lecz i w pięknych, wspania-
łych, nieraz potężnych ciałach jej mieszkańców
i w ich gorącej krwi.

Tu śmierć ma swoje gniazdo i niemal w
mgnieniu oka zamienia ona żywą istotę w ohyd-
ny, gnijący trup.



Rozdział II

DŻUNGLA AFRYKAŃSKA

Dżungla jest to zawsze pojęcie bardzo rozciągle i nieokreślone.

Przecieliśmy dżunglę Gwinejską, Sudańską i Wybrzeża Kości Słoniowej, a każda z nich miała odrębny charakter.

W Gwinei, oprócz obszarów grzbietu Futa-Dżalon, dżungla przedstawia sobą las podzwrotnikowy, niedostępny zupełnie w Dolnej nadmorskiej Gwinei, gdzie napowietrzne korzenie fikusów i innych drzew, tworzą sieć nie do przebycia; bardziej dostępną jest dżungla w środkowej i wschodniej części kolonji, ponieważ las tam nie jest zbyt gęsty, lecz zarośnięty od dołu krzakami, wysoką trawą i bambusami.

Tę dżunglę czyli bruszę, murzyni zaczynają od grudnia wypalać. Znikają wtedy bez śladu trzciny, trawa i drobne zarośla krzaków i pozostają tylko drzewa. Są to drzewa karite, kopok,

baobaby, palmy olejne i kokosowe, rafia i kilka innych gatunków.

Polowaliśmy w tej dżungli wtedy, gdy jeszcze jej nie tknął ogień.

Byliśmy zmuszeni przedzierać się z nożami w rękę, rozumiejąc doskonale, że nawet największe zwierzę, jak słoń lub bawół, mogłoby w tych haszczach z łatwością ująć naszej uwagi. W każdym zaś razie, słysząc nawet uciekające przez dżunglę zwierzę, strzelać tu nie można, bo celu się nie widzi. Zrozumiałem też jest, że w takiej dżungli nie trudno o przygodę, jeśliby jakiś drapieżnik zechciał myśliwego zaatakować. Na szczęście dzikie zwierzęta nigdy nie atakują bez poprzedniego napadu na nie ze strony człowieka. Atakują tylko drobne istoty, jak — mrówki, termyty, komary, bąki i pająki.

W porze, gdy dżungla jest już wypalona, podróżowanie przez nią pozostaje jednak rzeczą trudną, ponieważ cała przestrzeń dżungli gwinejskiej jest pokryta mniejszymi i większymi odłamkami skał laterytowych oraz olbrzymimi koloniami termitów. Marsz dzienny, a szczególnie nocny, związany jest z poważnymi trudnościami, a nawet niebezpieczeństwem. Ileż to razy prawie łamaliśmy i skręcaliśmy sobie nogi, ileż to razy padaliśmy na ostre kamie-

nie potknąwszy się o zdradliwe, ukryte w spalonej trawie termitjery!

Dżungla w dolinach i na szczytach Futa-Dżalon przedstawia sobą zarośla wysokiej ostrej, kolczastej trawy i trzcin, ukrywających w swoim gąszczu te same kamienie i kopce termitów. Tylko na brzegach większych rzek, jak na przykład Baffing, i potoków, spotykaliśmy knieję skłębioną, ciemną, niedostępną, gdzie się kryją małpy, szczególnie zaś szympanse i ich odwieczni wrogowie — węże pytony.

Dżungla sudańska jest to morze trawy i trzcin z wyspami gajów lub oddzielnych drzew, bez większych przestrzeni leśnych, gdyż wszystkie rzeki, oprócz Nigru i Czarnej Wolty, w perjodzie zasusznym znikają.

Zato całkiem inaczej wygląda dżungla Wybrzeża Kości Słoniowej, tego najpiękniejszego w całej Afryce zachodniej kraju.

Północną część tej kolonii stanowi Sawanna, wspaniała równina pokryta niewysoką soczystą trawą i ozdobiona bukietami wiecznie zielonych gajów. Tu dażą ze wszech stron i dążyły z pewnością z przed wieków różne zwierzęta w tym okresie, gdy wysychała i umierała Sahara. Niezliczone stada antylop od dużego jak koń Bubalis major do drobnej antylopy Max-

wella, bawoły dwóch gatunków, słonie, lwy i pantery wiodą tu życie i prowadzą walki; tysiączne rodzaje ptactwa gnieźdzą się w trawie i gąszczu drzew.

Wszędzie tu szemrzą mniejsze i większe potoki i strumyki, a cała sieć rzek, wpadających po części do Czarnej Wolty, częściowo zaś do oceanu, przecina ten bogaty nad wyraz kraj.

Blżej do morza sawanna znika, urywając się prawie nagle przed czarną ścianą dziewiczych lasów, skąd biali przybysze zaczynają z każdym rokiem wydzierać złoto, w postaci mahoni, drzewa palmowego i innych cennych gatunków drzew.

W tej dżungli leśnej ukrywają się i mnożą stada słoni i małp. Ich niczem niezmacony dotąd spokój, zakłócony jest obecnie stukiem siekier, trzaskiem padających olbrzymów leśnych, warcotem parowej piły i budzącym niepokój turkotem samochodowych motorów i kół wagonów kolejowych, ponieważ droga żelazna już przecięła knieję od oceanu do Bouake i stąd ciągnie już długą macką na północ, aby przebiec Wysoką Woltę i Sudan i dotrzeć do nurtów Nigru.

Dziewicze lasy wybrzeży zatoki Gwinejskiej przechodzą na zachodzie w granice wol-

nej republiki murzyńskiej — Liberji, na wschodzie zaś — do angielskiej kolonii Złotego Brzegu.

Jeszcze tymczasem dość jest miejsca w tej leśnej kniei nietylko dla dzikich zwierząt, lecz i dla licznych szczepów, prowadzących niemal do ostatniego czasu zupełnie pierwotny tryb życia, uprawiając ludożerstwo i nekrofagję*); lecz ze smutkiem mogłem stwierdzić fakt, że „polityka penetracji”, ta pokojowa, cywilizacyjna polityka Francji, postępuje szybko i z zawrotnem powodzeniem naprzód, że zbliża się już czas, gdy te niezmiarzone obszary leśnej kniei potną koleje i drogi automobilowe na tak małe kwadraty, że myśliwy będzie mógł bez trudu przejść je w ciągu jednego dnia; wtedy znikną słonie i szympansy, znikną lwy i pantetery, przetrwają tylko pozostając pod opieką władz antylopy i — koniec polowaniom, gdzie się teraz wymaga nietylko celnego oka, lecz silnego i wytrenowanego ciała, sprytu i przedsiębiorczości myśliwego.

Zawsze powtarzam w takich wypadkach, że nie chciałbym dożyć chwili, kiedy zostanie zabity ostatni słoń, hipopotam, lew i tygrys i gdy biali sędziowie skażą na śmierć ostatniego chunchuza — bandytę chińskiego, lub lubują-

*) Pożeranie nieposzczyków.

cego się w najazdach i zbrojnej grabieży jeźdźca turkameńskiego czy berberyjskiego. Nie chciałbym żyć wtedy, gdyż byłby to okres bez zdrowego, bujnego i barwnego romantyzmu w życiu ludzkości. Nie bardzo bowiem lubię oglądać zwierzęta w klatkach, Arabów — w lakierkach, Chińczyków — w smokingach, Murzynów — w sztywnych kołnierzykach i pstrych krawatach...

Wiem, że jest to niekulturalny pogląd na postęp cywilizacji, lecz cóż ja na to poradzę? Przepadam za sposobnością skradania się do dzikiego bawołu, do szukania w nocy iskrzących się oczu pantery, do rozmowy z ludożercą — Guro, lub z chińskim chunchuzem, uzbrojonym w potężny, długi na trzy metry falkonet. Może właśnie dlatego chiński marszałek Czang-Dzo-Ling, którego w r. 1904-m znałem jako hetmana bandyckiego, dużo stracił w mojej opinii, gdy wciągnął na swoją drobną, nerwową, sprężystą figurę za bardzo wygalonowany mundur marszałkowski, kepi z białą kitą i pałasz, marszałkowski, kepi z białą kitą i pałasz, którym się z pewnością władać nie nauczył.

W r. 1904-m, był on dla mnie romantyczna osobistością, chociaż pewnego razu jego zbóje dobrze mnie pokieroszowali; w r. 1921-m, gdy rozmawiałem z nim jako z marszałkiem i

wicekrólem Mandżurji, nie mogłem bez smutku w sercu patrzeć na niego...

Taki już mam dziwaczny i niekulturalny pogląd na rozwój ludzkości! Myślę prawdopodobnie bardzo nie postępowo, że uczciwy, mądry, odważny, chociaż goły, jak święty turecki, murzyn, więcej wart moralnie, niż sprytny, arogancki, tchórzliwy i inteligentny spekulant giełdowy w rękawiczkach, lakierkach i monoklu...

Właśnie tak myślałem tam, w lasach Wybrzeża Kości Słoniowej, gdy przebiegałem tę knieję razem z sympatycznym p. Marcel Burger'em, najlepszym myśliwym i najprawdziwszym poetą łowów i natury w Afryce Zachodniej.

Pocieszam się jednak nadzieją, że do r. 1927-28 cywilizacja pozostawi jeszcze dla mnie, gdy po raz drugi przyjadę do tego kraju, — chociażby parę drobnych, starych słoni, ze trzy bawoły i małe stadko hipopotamów w rzece Bandama.

Cały ocean dżungli zamknięty jest od wschodu i od północy prądem potężnego Nigru i Senegalu, osłaniających go od nacierającej od północy Sahary, z jej wichrami i chmurami gorącego, martwego piasku.

Te dwie olbrzymie rzeki zachowują przy życiu i żywią całą prawie zachodnią Afrykę. Są to potężne zbiorniki wody. Aby dać o tem wyraźne pojęcie, dość zaznaczyć, że środkowy Niger na zachód od Tombuktu w rejonie jeziora Fagebin, podczas pory deszczowej ma do 240 kilometrów szerokości.

Szczepy Bambara, Malanke i Peul zamieszkują brzegi Nigru od jego źródeł prawie do Tombuktu, tej Jerozolimy środkowo-afrykańskiego Islamu. Wszystkie wioski, położone na brzegach Nigru, zaludnione są przez wspaniałych rybaków, o których można pisać tomy całe, bo życie ich jest pełna przygód, romantyzmu i przejawów zdrowego ciała i odważnego ducha.

W swoich łodziach — pirogach, pędzonych dwoma tuzinami wiosła, śmigających w mocnych dłoniach nagich rybaków, miarowo i sprawnie naginających i prostujących muskularne ciała tną ci hebanowi ludzie wartki prąd Nigru i zanurzają w jego nurty nieskończenie długie sieci, przegradzając niemi bieg rzeki od brzegu do brzegu.

Rybacy, uzbrojeni w długie lance z trzema ostrzami na końcu, długimi i krótkimi harpunami, wpatrują się w pędzącą wodę i od czasu do czasu ciskają błyskawicznym ruchem swoją

broń, wyciągając ją z trzepoczącą się na jej ostrzu rybą.

Są to ryby przeważnie z rodzaju karpio-
wych i jeszcze inne, a wśród nich te same, które
widziałem na Saharze, gdzie je wyrzucają
nieraz artezyjskie studnie, połączone z głębo-
kiemi podziemnymi basenami.

Dziwna to ryba! Arabowie i Peul nazywają
ją „Bahr”, należy zaś ona podług określeń an-
gielskich i francuskich ichtjologów, do rodzaju
Chromidae (Chromis Zillii, Chromis Desfon-
tanei, Hemichromis itd). Jest to nader tragiczny
rodzaj ryb, może, nawet bardziej tragiczny od
pospolitego węgorza, który na gody małżeńskie
podróżuje z naszych rzek i jezior przez cały
Bałtyk i Atlantyk, aż do morza Sargassa, skąd
ich potomstwo odbywa nową tułaczkę do rzek
europejskich.

Niegdyś Saharę przecinały i ożywiały dość
liczne rzeki, o czym teraz mówią tylko wyschnię
„uedy”, czyli łożyska, usiane niby kośćmi, bia-
łemi, okrągłymi kamieniami. W tych rzekach
roilo się niegdyś od chromid. Lecz znikły te
rzeki a chromidy ukryły się przed słońcem w
głębokich podziemnych kanałach. prowadzą-
cych do jeziora Czad lub do Nigru.

Tam, w tych ciemnych nurtach pozostały

chromidy i, chociaż istnienie ich nie jest przyjemne, nie opuszczają rodzinnych potoków, razem z niemi odbywając wędrówki do Nigru i zawsze powracając aż hen! w okolice Algieru i Luguatu, gdzie je widziałem w chwili, gdy wiercono studnię artezyjską, a wyrwijąca się z pod ziemi fontanna, wyrzuciła kilka wiernych ojczystym nurtom chromid, zupełnie takich, jakie łapią w swe sieci rybacy Malanke.

Malanke — to najwspanialszy rybak na świecie, bo chyba żaden inny naród lub szczepek, nie posiada rybaków, którzy z harpunem w ręku ścigają w wodzie ryby, uganiając się za niemi.

Tymczasem jest to zwykły proceder Malanke.

W wartkich prądach odnóg Nigru spotykają się rybacy z krokodylami, hipopotamami i poszukiwanym przez smakoszy murzyńskich lamantynem, a nic się nie ustoi przed ciosami harpunów i lanc odważnych nurków.

Hipopotamy i lamantyny coraz bardziej opuszczają Niger, obawiając się sąsiedztwa z Malanke i uchodzą w boczne dopływy tej obrzymiej arterji afrykańskiej, ukrywają się nawet w innych basenach wodnych, należących już do systemu zatoki Gwinejskiej; lecz i tam

Na brzegu Czarnej Wolty i Bandama, a więc ścigają je przedsiębiorczy Malanke i Bambara. już na wybrzeżu Kości Słoniowej, spotykałem tych kłusowników wodnych, zapuszczających się aż tu w pogoni za hipopotamami.

Zabijają je i sprzedają Murzynom innych szczepów po 6000 franków od głowy. Całe obwody składają się na ten zakup smacznego mięsa, wysoko cenionego przez Murzynów.

Całemi godzinami nieraz przyglądałem się najbardziej ulubionemu przez Malanke sposobowi połowu ryb. W małej, wąskiej pirodze, lekkiej i wywrotnej, kierowanej i poruszanej przez jednego wioślarza, stoi rybak z okrągłą siecią w ręku. Hebanowe ciało naprężone i gotowe do skoku, zwisająca z lewego ramienia sieć, nieraz harpun pod pachą, wszystko to przypomina lekkich gladjatorów rzymskich, którzy z trójzębem w ręku i siecią, walczyli na arenie cyrkowej z ciężko uzbrojonymi i opancerzonymi szermierzami.

Rybak stoi nieruchomy, zapatrzony w wodę i nagle szybkim, prawie nieuchwytnym ruchem, rzuca sieć kolistym rozmachem. Niby rozpostarty w powietrzu drapieżny ptak, sieć zawisa nad wodą i pada, usidlając w swych zwojach ryby. Tę sieć nazywają Malanke a za

nimi i inni czarni rybacy — „siecią-jastrzębiem”
a mają zupełną rację!

Zwykle dają się słyszeć głosy, że statki, kursujące po Nigrze w porze deszczowej, wystraszają hipopotamy i krokodyle, zmuszając je do ucieczki do mniejszych, a bardziej ustronnych rzek. Bez wątpienia, ma to swój wpływ ujemny na ilość tych wspaniałych zwierząt, jednak myślę, że rola rybaków Malanke jest w tym wypadku bardziej decydująca. Sądzę tak z tego, że przecież od października do maja, żaden statek nie kursuje po zachodnim łuku Nigru, bo wyłaniają się z niego po gwałtownym spadku wody, niebezpieczne skały i mielizny, a jednak w ciągu dwunastu dni naszej żeglugi w łodziach po Nigrze, od gwinejskiej Kurussy do sudańskiej Bamako, raz jeden zaledwie widzieliśmy dwa hipopotamy, nader płochliwe i ostrożne. Co do krokodyli, to widziałem kilkanaście sztuk, lecz były to przeważnie młode, a nawet zupełnie małe okazy. Raz jeden tylko w pobliżu Bamako, spostrzegłem długiego na cztery metry krokodyla. Dojrzał on naszą łódź zdaleka i pomалу zaczął się czołgać z kamieni, na których się wygrzewał, do wody. Nie mogłem strzelać do niego, bo dzieliła nas przestrzeń, za

duża na to, abym mógł umieścić kulę mego ekspresu za uchem potwora.

Jednak krokodyl, zsunawszy się do wody, popłynął w stronę naszej łodzi i po kilku minutach ostrożnie wynurzył łeb nad powierzchnię rzeki. Strzeliłem. Ujrzałem krwawą plamę, wypływającą tuż nad miejscem, gdzie w oka mgnieniu znikła w wodzie głowa krokodyla. Przeszło jeszcze kilka sekund, woda się zakotłowała, pokazał się grzbiet potwora, wściekle bijącego ogonem i co chwila przewracającego się do góry żółtym brzuchem i konwulsyjnie kurczącymi się łapami. Gdy wynurzył się na chwilę łeb, posłałam weń nową kulę. Krokodyl zniknął i już więcej się nie pojawił. Gdyby był ranny, powinienby był coraz częściej wystawiać głowę lub przynajmniej chrapy, aby nabrać powietrza w płuca, lecz na gładkiej powierzchni Nigru nic już nie widzieliśmy.

Krokodyl, ugodzony śmiertelnie, usiłuje zawsze wcisnąć się pomiędzy kamienie podwodne, lub wtłoczyć pod konary zatopionych drzew i tu wyzionąć ducha.

Z tej właśnie przyczyny nie zdobyłem tego krokodyla, chociaż Murzyni starannie go poszukiwali. Taki instynkt zwierza czyni polowanie na krokodyle bardzo trudnem.

Myśliwy powinien szukać tego płazu przed zachodem słońca, gdy najczęściej wypęłza na błotniste brzegi rzek, lub na wystające z wody kamienie. Tu leży nieruchomie, czekając aż słońce wysuszy i zabije wszelkie robaki, mięczaki i hydromeduzy, które dokuczają mu dotkliwie.

Widziałem czaszkę krokodyla, któremu jakieś pasożyty zupełnie zniszczyły kość tuż nad oczodołami.

Podczas takiej kuracji słonecznej, najlepiej i najbardziej racjonalnie strzelać do krokodyli, pamiętając jednak zawsze, że płaz ten mając nawet zupełnie strzaskaną głowę, znajdzie w sobie dość siły, aby wydając ostatnie tchnienie, zsunąć się do rzeki i zniknąć w jej nurtach bez śladu. Kula powinna być umieszczona tuż za uchem, w szyi, tak, aby zdruzgotała kręgosłup. Dopiero wtedy krokodyl pozostanie na miejscu bez ruchu. Trzeba przyznać, że jest to bardzo trudny strzał, gdyż zwierzę tak się płaszczy na ziemi lub na kamieniach, że dla celu pozostawia niedużo miejsca, barwa zaś szarozielona, dokładnie podobna do kolorytu miejscowości, wprowadza nieraz w błąd.

Wszystko to sprawdziłem podczas mojej wyprawy i twierdzę, że strzał do krokodyla, jest

niezawodnie najtrudniejszą rzeczą dla myśliwego.

Niger, a szczególnie mniejsze rzeki, wpadające do Oceanu i płynące w brzegach porośniętych gęstym lasem dziewiczym, są ojczyzną ptactwa wodnego za wyjątkiem kaczek i gęsi. Spotykaliśmy tu i strzelaliśmy dla naszych zbiorów ornitologicznych, które oddaję Narodowemu Muzeum Przyrodniczemu w Warszawie,—kuligi różnych odmian, żórawie koroniaste (*gruspavonia*) ibisy, czaple, olbrzymie barwne bociany tak zwane *Mycteria Senegalis* kormorany, wspaniałe, biało-czarne orzyrybaki (*Haliaetus vocifer*) i inne ptactwo, nad klasyfikacją którego będzie pracowało nasze Muzeum Przyrodnicze.

Ptactwo jest tu zupełnie nie płochliwe i podczas polowania zdarzył mi się taki wypadek. Chciałem zdobyć białą czapelkę, która zwykle towarzyszy stadom bydła, żerując na niem, gdyż żywi się pasożytami krów, bawołów, owiec i antylop.

Upatrzona przeze mnie ofiara, stała na błotnistym brzegu małej rzeczki, a obok niej, o jakie trzy kroki, zastygła w pozie najgłębszej kontemplacji czerwono-brunatna czapla. Stała

jak statuetka z brązu, najmniejszym ruchem nie zdradzając, że jest istotą żywą.

Gdy po strzale do śnieżno-białej Ardea Ibis spojrziałem na „statuetkę” ta pozostawała w tej samej pozie, sztywna, nieruchoma, wyprostowana. Dopiero wtedy, gdy Murzyn, tonący po pas w błocie, dotarł do zabitej białej czapli, kazałem mu schwytać stojącego w pobliżu bezczelnie obojętnego ptaka. Lecz gdy czarna ręka zaczęła ostrożnie sunąć ku brązowemu posążkowi, ten z przenikliwym krzykiem i nadzwyczajną szybkością odleciał. Czapla usiadła po chwili o dziesięć kroków dalej i znowu zastygła, wpatrzona, może w zaświaty a może w tłuste i prawdopodobnie smaczne robaki, czołgające się po rozmokłej, błotnistej ziemi.

Od strony lasów i płaszczyn stepowych, a więc z dżungli, niezależnie od jej typu, ku Nigrowi i jego dopływom, zbiegają wąskie, zygzakowato zawite ścieżki. Nie są to ludzkie szlaki, bo te są szersze, prostsze i zawsze usiane śladami człowieka. Tu przechodzący murzyn rzucił kawałek urwanego rzemienia i wytrząsnął z fajki popiół tytoniu lub kifu, tam pozostawił resztki niedojezionej pomarańczy lub banana, tam znowu wypoczywał i dla rozrywki podpalił

suchą trawę brussy, lub ściał kilka gałązek szmaragdowego karite.

Całkiem inaczej wyglądają te zawile, pogmatwane w misterną sieć ścieżki zwierzęce.

Wprawny myśliwy czyta jak z księgi — z księgi dżungli, co ma tyle stronic, że na odczytanie wszystkich życia dwóch pokoleń z pewnością by nie wystarczyło. Każde ze zwierząt, ptaków, płazów, ba! nawet owadów, pozostawia tu swe autografy.

Antylopy przebijają swemi ostremi kopytami miękką powierzchnię ziemi, pantera, serwał, gepard, krwiożercza mangusta, drapią ją pazurami, czasem i lew pozostawi odblask potężnej łapy, a obok bawół wycisnie podobiznę swego okrągłego kopyta, pyton się zapisze chropawą węzową wstęgą i lekkimi skazami w miejscach, gdzie wąż dotykał ziemi twardym końcem ogona; odblaski podobne do liści o trzech płatkach, znaczą przejście żorawi i marabutów, a czasem wszystko to znika wśród głębokich, okrągłych dołów. To słonie przychodziły tu pić wodę i oblewać nią olbrzymie grzbiety, do zwałów ciemno-szarej ziemi podobne, lub szły tu wychodzące z wody na żer do dżungli hipopotamy.

Doświadczony murzyn — tropiciel, bada-

jąc księgi dżungli, może opowiedzieć co robiły i nawet co myślały te zwierzęta, które pozostawiły po sobie te liczne ślady.

— Ten stary bawół zatrzymał się w tem miejscu, węszył i słuchał, bo uszu jego doszły stapania dużego zwierza; po chwili jednak spokojnie ruszył naprzód, bo to od prawej strony zbliżała się antylopa końska.

Przeszły tu dwa słonie, lecz nagle skrzyły w bok i piły wodę o kilka strzałów z łuku, tam, gdzie obok nich stało całe stadko pręgowatych antylop.

— Tu skradała się do stojącego w wodzie dzika-pantera, lecz po chwili poszła dalej, bo ofiara zwęszyła ją i, popłynąwszy rzeką, znikła w gęstych zaroślach.

— Na tem miejscu magnusta wpadła na kuropatwę, widzę tu kilka wyrwanych piór, podrapaną ziemię... Kuropatwa umyka, ciągnąc za sobą wroga... Uratowała się, czy nie?... Nie! widzę kroplę krwi... a tu z — przegryzionej szyi wyciekła do reszty... Mangusta uniosła ofiarę w gąszcz trawy... Ślady drapieżnika schodzą ze ścieżki i znikają w zaroślach.

Tak opowiadają murzyni-tropiciele i mogą tak mówić cały dzień i przez cały rok, ponie-

waż nikt nigdy nie potrafi przeczytać do końca wielkiej księgi dżungli, do czasu, aż dżungla istnieć przestanie.

Księga zaś ta jest pełna uroku, tajemniczości i dzikiej wolności, wnoszącej ukojenie w znękaną i zatrutą elektrycznością, zgiełkiem wielkomiejskim i polityką, duszę białego człowieka.



Gwócg tancerzy i czarowników szczepu Fulah.

Rozdział III

CZARNE RASY.

W dżungli afrykańskiej, niby drobne czółenka na bezgranicznych przestworzach morza, toną wioski niezliczonych szczepów murzyńskich, należących do kilku ras. Najstarszą jest rasa aborygenów, czyli „Synów Ziemi”, przechowująca tradycje pierwotnej rasy murzyńskiej. Czy są ci „synowie ziemi” potomkami pierwotnej rasy Afryki podzwrotnikowej? Zda się, że nie, gdyż legendy ich są całkiem podobne do legend aryjskich i semickich, a niektóre z nich mówią, że murzyni wyszli pod grozą najazdu Asyryjczyków z Palestyny i że pochodzą od Kusa, syna Kaina, lub od Rahmy, wnuka Kaina. Jest to więc ród, wyklęty przez Boga, ród noszący pieczęć wyklęcia. Czy nie jest tym stygmatem tatuowany punktami, na czole kwadrat, noszony przez najstarszych o ile twierdzić może nauka współczesna, aboryge-

nów-murzynów Nalu, co otaczają swoje zęby na trójkąt, są fetyszystami, i nieraz ludożercami. Główne legendy o mytologicznym pochodzeniu tego szczepu, posiadają też wszelkie cechy wyklęcia ich przez Bóstwo.

Jestem przekonany, że jeżeli nawet uważać domniemaną rasę *Negrito* za pierwotnych synów ziemi afrykańskiej, to mniej więcej czystych potomków jej znaleźć w Afryce nigdy się nie uda. Ta ziemia walki o byt była do niedawna jeszcze, bo do II-ej połowy ubiegłego stulecia, terenem ciągłych wojen i najazdów przybyszów. Ci przynieśli ze sobą nową kulturę i nową krew, która się zmieszała ze krwią Aborygenów i wytworzyła nowe, metysowane rasy, różniące się pomiędzy sobą wyłącznie ilością domieszki tej lub innej krwi, oraz jej etnicznym gatunkiem.

Jak dalekie, prawie umierające echa, szepczą prastare, dość niewyraźne opowieści murzyńskie o Asyryjczykach, od których pozostały w kulcie fetyszystów, imiona Bila, Belzebu i krwawego Molocha zrodzonych fantazją azjatycką, pomiędzy Tygrysem i Eufratesem lub na wybrzeżach Arabji; czarnoksiężnicy często używają podczas swych praktyk niezrozumiałych słów: „sztaret birakit”, lecz przecież to

bardzo przypomina fenicyjski wykrzyknik przy modłach do bogini Astarty-Asztaret Baraket; — Astarta — błogosławiąca!

Legandy i badania naukowe mówią o domieszce krwi czerwonej rasy. Była to krew egipska, krew dymnych, potężnych swoją siłą wojenną, bogactwem nieprzebranem i nauką panów starożytnej Afryki.

Nie wiem, czy wpłynęła tu w dawno minionych wiekach czysta krew egipska, lecz wiem, że w Egipcie przed XVII Dynastją, panowali w ciągu 220 lat najeźdźcy z Azji — Hyksosi — „królowie-pastuchy“, a gdy potęga ich padła pod ciosami zrewoltowanych książąt egipskich, zniknęli bez śladu, bo historia już po 100 latach nic o nich nie wie. Przechowały się tylko podania, że część ich powróciła na wschód, do Azji, druga zaś część powędrowała na zachód i utonęła bez oddźwięku w dżungli.

Czyż zginęli, wymarli do reszty krwawi, wojowniczy „królowie-pastuchy“?

Niel Potomkowie wojowniczych królów Mentiu i Aaty dotrwali do naszych czasów. Na wschodzie i południu od jeziora Czad, od strony źródeł Nilu, mieszkają luźne rody murzynów rasy Peul i coraz częściej spotykać się dają tu i owdzie w dolinie Średniego Nigru, aż tworzą

wielki ośrodek w północnej części grzbietu Futa-Dżalon, gdzie przybierają nazwę Fulah.

Tradycje, legendy, stroje kobiet, sztuka, wyroby ludowe — wszystko to nosi wyraźne ślady kultury egipskiej. Fulah i tylko oni, jeżeli nie są dotąd muzułmanami, lecz pozostają poganami, przechowali kult boga słońca Nag-gue, którego nazywają także Tili lub Ragge, a fetysze, przedstawiające tego boga bardzo przypominają posążki egipskiego Ra.

Wreszcie istnieją wskazówki, że czerwona rasa Atlantów, tych tragicznych ludzi-zagadek, pozostawiła ślady we krwi murzyńskiej, a Dr. R. Suzor którego poznałem w Gwinei, zapewnił mnie, że znalazł stare napisy Atlantów podług pisowni nigdzie więcej nie spotykanej, a używanej przez dwa szczepy, twierdzące, że przywędrowały do Afryki z „krajiny, która przed wiekami zatonała w zachodnim morzu”.

Berberowie i Arabowie, nieraz musieli przekraczać Saharę i wnosić potok nowej krwi do żył dawnych mieszkańców środkowej Afryki.

Fenicjanie, z Kartaginy docierali do Nigru i Senegalu i usiłovali wtargnąć do serca Afryki ze swymi towarami, kultem Astarty i wojskiem.

W taki sposób w ciągu długiego szeregu wieków trwało krzyżowanie się czarnej rasy pierwotnej z przybyszami innych ras, aż przyplwać zaczęła biała krew, wytwarzając nowych metysów.

Cała mitologia murzyńska jest pochodzenia astralnego i w niej dają się wyczuć wpływy asyryjski i egipski. Kult, o ile nie jest muzułmańskim, zamkniętym żelazną obręczą surowego Koranu, składa się z ubóstwiania duchów przodków, które są pośrednikami pomiędzy żyjącymi a bogami.

Totemizm, czyli ubóstwianie niektórych zwierząt, od których mają pochodzić prarodzice tego lub innego szczepu, uprawiany jest dość często. Takiemi zwierzętami-totemami, których nie wolno zabijać i zjadać, są — hipopotam, słoń, krokodyl, iguan, gołąb, ptaki „Kone” i „Mama Diabil” szympan, hiena, duży wodny wąż i inne.

Totemiści przysparzali mi nieraz dużo kłopotów, gdyż, jak to było na rzece Baoufle, w północno zachodnim Sudanie, nie chcieli pokazać mi hipopotamów, żyjących w głębszych miejscach tej rzeki.

Murzyni ubóstwiają drzewa, szczególnie baobaby i serowce (łacińska nazwa — Bombax),

inni — kamienie i skały, rzeki i źródła, niektórzy — ogień.

Wszystkie te miejsca i przedmioty są w posiadaniu różnych duchów — a więc: „Bari, czyli manów lub cieniów przodków, Dzine, Nina, Gene i innych „gri-gri”, które z woli bogów mają być dobremi lub złemi siłami, wynagradzać lub karać murzyna.

Łatwowierność, ślepe zaufanie do kapłanów i czarowników cechuje murzynów — pogan. Na tem osnute jest ludożerstwo, mające prawie zawsze podkład religijno-mistyczny.

Czarownik, mniemający, że jakaś plaga, trapiąca jego współrodaków, spowodowana jest gniewem „gri-gri”, postanawia złożyć bóstwu ofiarę krwawą. W tym celu, jak dowodzi pewien dokument oficjalny, znajdujący się w moich zbiorach czarownik rozkazuje pewnym osobnikom aby przyszli w nocy w umówione miejsce w dżungli. Tu daje tym ludziom do wypicia odurzający napój, a gdy ten zaczyna działać, czarownik ofiarowuje wszystkim żelazne pazury, oświadcza, że ci ludzie od tej pory zmieniają się w pantery i wskazuje, kogo ze swych rodaków mają rozszarpać.

Podczas jednego sądu nad ludożercami, nikt z nich nie zaprzeczał temu, że zabili kilka

osób i zjedli je całkowicie lub częściowo, lecz objaśniali sędziom, że od czasu, gdy zostali zamienieni w pantery, wszyscy ludzie przyjęli w ich oczach postacie antylop.

Matki, pod wpływem namów czarowników, nieraz zabijają swoje niemowlęta i zjadają je, dzieląc się ich mięsem siasiadami. Niektóre szczegóły opowiadane mi w Gwinei, dowodzą, że misterjum te w założeniu swoim przypomina bardzo komunję w kulcie chrześcijańskim. Na wyspie Tamara z archipelagu Los, widzieliśmy w więzieniu około 20 kobiet-panter, skazanych na 10—20 lat ciężkich robót za ludożerstwo w formie zjadania swych dzieci.

Tam, gdzie ziemia co chwila dowodzi swojej potęgi niezwykłymi urodzajami i wybujałą roślinnością, istnieją krwawe ofiary na cześć bogini-ziemi.

Raz do roku dojrzewająca młodzież odbywa wycieczkę po kraju pod przewodnictwem czarownika, aby po powrocie do rodzinnej wioski poddać się rytualnemu obrzezaniu. Z takiej wycieczki nieraz któryś z młodych ludzi już nie powraca.

„Zły gene nawiedził go chorobą i pomieszał mu zmysły“. „Odszedł do brussy i tam zmarł“, — objaśnia zwykle czarownik. —

„Złożyłem ciało jego w świętym gaju Korhogo“..

Jest to rytualna formuła i wszyscy wiedzą, co ona oznacza. Cała wieś zabiera wtedy swoje fetysze domowe i w odświętnych strojach z muzyką i tańcami wyrusza w stronę świętego gaju, wskazanego przez czarodzieja.

„Święty gaj“ — to świątynia bogini Ziemi, namacalnej siły, przejawianej przez żeński rozrodczy, płodny element bóstwa — księżyc. Piękne są te świątynie ziemi, ubóstwianej przez starożytnych Europejczyków pod imionami Gei i Demetry.

Wśród Sawanny, wśród żyznych pól manioku, injamu, prosa i kukurydzy, niby wspaniały olbrzymi bukiet, wznosi się niewielki gaj. Tworzą go drzewa niebotyczne o tak gęstych koronach, że nawet afrykańskie słońce nie może wtargnąć pod jego szmaragdowe sklepienie.

Niby kolumny z czarnego agatu, z zielonych dżetów, lub żółtych onyksów, wznoszą się i giną pod ciemną kopułą ze splecionych gałęzi i liści, odwieczne pnie i konary olbrzymich drzew. Zaledwie jedyna, wąska ścieżka prowadzi do wnętrza tej świątyni-gaju, gdyż dokoła otaczają go gęste krzewy i zwisające ljaney. W szmaragdowym wnętrzu świątyni stoi kilka małych, okrągłych chatek, gdzie kapłani i cza-

rownicy ustawiają od wieków fetysze-posążki z kamienia, gliny i drzewa, zawieszają amulety i talizmany, i stawiają miseczki z jadłem i napojem dla nieśmiertelnych duchów przodków. Wśród tych kapliczek z fetyszami, na małym placyku wznosi się kilka z gruba ociosanych kamieni lub kłoców drzewa, przypominających kształty ludzkie.

Przed tymi posągami mieszkańcy wioski widzą zmarłego podczas pielgrzymki młodzieńca, owiniętego w białe szmaty. Kładą go na nosze i niosą z pieniem i tańcami rytualnymi do dżungli, gdzie grzebią, otaczając świeżą mogiłę gałęziami kłujących krzaków, mających zabezpieczyć od hien i szakali. Pogrzeb odbywa się z wielką pompą i obrządki pogrzebowe zabierają kilka dni, podczas których rodzina zmarłego jest honorowana przez mieszkańców całej okolicy i zasypywana darami.

Jednakże nie jeden z murzynów, wychodząc ze świątyni Ziemi, za konduktem pogrzebowym, dojrzy na stopniach kamiennych lub drewnianych „bogów” świeże ślady krwi i zrozumie, że nie jest to krew białego koguta lub białego jagnięcia, lecz krew tego młodzieńca, którego „nawiedził w drodze zły Gene”.

Murzyn wie, lecz nikomu o tem nie mówi

i nie zwierza się z tem, że to czarownik dał młodzieńcowi truciznę, a ten chorować zaczął, tracić przytomność, aż wybiegł do brussy i zmarł od „nieznanej” choroby, którą nawiedził go „gene”.

Murzyn widzi w swej wyobraźni nocny pochód z ciałem zmarłego do świątyni Ziemi, ognisko pałające w pobliżu posągu bogów i czarownika, który w samotności schyla się nad zmarłym i z poderzniętego gardła wylewa krew jego na stopy wielkich „gri-gri”...

Tak się to odbywa, chociaż obecnie, pod wpływem cywilizacji francuskiej i angielskiej, coraz rzadziej, i coraz to w większej tajemnicy i ukryciu...

Szukałem starannie w Afryce podzwrotnikowej śladów najeźdźców, którzy przynieśli murzynom swój kult, legendy, tradycje i krew, zmieniającą oblicza ludów. Słuchałem opowiadań kapłanów i czarowników, czytałem i zapisywałem legendy murzyńskie, zaglądałem we wszystkie zakątki życia szczepów różnych ras, robiłem pomiary antropologiczne.

Trudna to praca, gdyż w mózgach czarnych ludzi pomieszało się wszystko— dawne podania o dalekich przodkach z Palestyny, Egiptu, o walkach pomiędzy oddzielnymi szczepami, o

najeźdźcach z północy-Arabach i Berbarach, którzy założyli na wybrzeżu Kości Słoniowej ośrodek surowego Islamu w mieście Kong. Do tych wspomnień o krwawych dziejach zapisali oni też wojowniczy okres powstania króla Al-mami-Samori, ostatniego czarnego władcy, walczącego o niepodległe państwo murzyńskie, i chociaż to było tak niedawno, bo pomiędzy 1893 a 1897 rokiem, włączyli i tego wojownika do swego eposu narodowego.

Jednakże coś niecoś znaleźć tu można, a mianowicie resztki dawnych stolic potężnych królów murzyńskich, naprzykład w okolicach Si kasso, Kita i w innych miejscach pola bitew, gdzie lała się krew synów Kusa, czy Rahmy, samotne kamienie na mogiłnych kopcach wodzów i bohaterów.

Rozdział IV

GROTA „POLONJA“.

Razu pewnego znalazłem coś jeszcze bardziej cennego, co może rzucić promień na pewien okres życia tej ziemi.

Było to tak. Polowaliśmy wtedy na antylopy i hipopotamy w północno-zachodnim Sudanie w pobliżu granicy obwodu Kaarta.

Przecinając dżunglę w różnych kierunkach z radosną myślą, że do najbliższej wsi tubylczej mamy dobre 50 kilometrów, pewnego razu ujrzeliśmy świeży ślad pantery. Przeszła z pewnością o godzinę przed nami. Rzadki to i nadzwyczajny wypadek spotkać panterę w dzień. Zaczęliśmy więc tropić ją, aż ślady drapieznika doprowadziły nas do niezwykle gęstych zarośli kłujących krzaków, otaczających niewysokie, mocno poszczerbione zębem czasu skały laterytowe. Ślady weszły w te zarośla, więc byliśmy zmuszeni przedzierać się przez



nie, kalecząc sobie twarzę i ręce i drąc ubranie.

Pomiędzy skałami a krzakami, ujrzeliśmy niedużą przestrzeń z kilku dużymi drzewami. Tu na piaszczystym gruncie, znowu znaleźliśmy odbitki potężnych łap drapieżnika, kierujące się w stronę głębokiej szczeliny, idącej aż do samego szczytu skał, gdzie dostrzegliśmy czarny otwór jaskini.

Zaczęliśmy się ulokowywać, aby urządzić obławę na panterę i sfilmować ją. Mój operator ustawił aparat pod drzewem, oparłszy o trójnog swego Mauzera.

Ja stanąłem na lewo od niego, oparty o skałę, gotowy w każdej chwili do strzału, chociaż wiedziałem, że najpierw będę zmuszony czekać aż operator „wykręci” kilkanaście metrów filmu.

Murzyni, którzy nieśli za nami broń, worki z nabojami, aparaty i upolowane antylopy, ukryli się za skałami w bezpiecznym miejscu. Trzeci towarzysz polowania — młody Francuz, obszedł skały i, wdrapawszy się na ich szczyt, zaczął ciskać do szczeliny, prowadzącej do jaskini, kamienie, aby wypłoszyć jej mieszkańców.

Kamienie z głuchym łoskotem toczyły się na dół, lecz nic się nie zjawiało w czarnym

otworze jaskini. Krzyknęliśmy Francuzowi, aby wrzucił z góry do jaskini snopki zapalanej trawy.

Wkrótce ujrzelśmy go, schylonego nad otworem w sklepieniu jaskini z płonąca trawą w ręku. Nagle odrzucił ją i zawołał:

— W grocie widzę legowisko lwicy z dwoma małemi!

Po tych słowach natychmiast powtórzonych przez murzyna, stojącego obok naszego towarzysza, usłyszeliśmy głuchy tupot nóg zmykających w popłochu murzynów. Uciekali, unosząc ze sobą zapasowe aparaty fotograficzne i worki z nabojami.

Zwracam uwagę myśliwych, którzy będą polowali w Afryce, na niebezpieczeństwo stale grożące od murzynów. Są pokojowi i łagodni, są bardzo odważni nawet, gdy sami są na łowach, lecz w obecności białego człowieka, który czyni bezsilnymi wszelkie talizmany i amulety, wiszące na szyi czarnych Nemrodów, ogarnia ich nieraz popłoch i zmykają, pozostawiając myśliwego bez broni.

Byliśmy o tem uprzedzeni, a więc zawczasu odbieraliśmy od murzynów nasze strzelby, a w kieszeni mieliśmy zawsze po pięć zapaso-

wych naboí, więc i tym razem niczem nam ta ucieczka nie groziła.

Nie uciekł tylko jeden murzyn — młody, zręczny murzyn—boy bardzo przez nas wszystkich lubiany. Stał zupełnie spokojnie, tuż przy operatorze i obojętnie wypluwał łuskę rozgryzionych orzechów arachidowych.

Sytuacja nasza stawała się nader podniecającą, bo pomyśleć tylko! Znaleźć legowisko pantery *) — to już rzecz nielada, a tu nagle lwica z małemi;

Umocowawszy się dobrze na nogach, daliśmy znak naszemu towarzyszowi, aby dalej rzucił płonąca trawę. Z głuchym hukiem i trzaskiem, wzmagany przez echo, spadać zaczęły palące się snopki suchej trawy i płonęły, wypełniając jaskinię dymem i przysyłając wejście do niej. Jednak nic się nie pokazywało z otworu grotu, chociaż byliśmy oddawna w pogotowiu — ja, z palcem na cynglu mego karabinu, mój operator z ręką na korbie aparatu filmowego.

Po długich chwilach denerwującego oczekiwania, nasz młody towarzysz, Francuz, krzyknął:

— Do diabła! to nie lwica z małemi, bo wziąłem za zwierzęta żółte kamienie.

*) Właściwie pantera zachodnio-afrykańska jest leopardem, lecz autor zachowuje miejscową terminologję kolonistów francuskich.

Zaklęliśmy bardzo brzydko.

— Francuz na nowo odezwał się ze szczytu skał:

— Była tam w grocie pantera, lecz wydo stała się przez boczny otwór. Mój murzyn wykrył w tej chwili jej ślady. Ukryła się w dżungli...

Klnąc, ruszyliśmy ku wejściu do grotty. Olbrzymie zwały skał tworzyły coś na kształt schodów w szczelinie pnącej się ku jaskini. Na jednym z takich naturalnych stopni znaleźliśmy resztki niedokończonej uczty pantery.

Były to kawałki mięsa, skóry i rogi antylopy — Cobus Kob, czyli w języku Mandingów — „son”.

Nasz murzyn — boy zawyrokował, że pantera upolowała antylopę przed dwoma dniami. Daliśmy do wnętrza jaskini strzał, lecz tylko echo nam odpowiedziało, gdyż dzika, ustronna kryjówka już opustoszała.

Bardzo rozczarowani i źli, powróciliśmy na wolny od zarośli pas przed skałami i zaczęliśmy się rozglądać. Wkrótce ujrzeliśmy ślady pantery. Widocznie, będąc w dobrym usposobieniu, drapała tu ziemię, a później, robiąc duże skoki, ruszyła na lewo. Szliśmy jej śladem, aż doprowadziły nas do jaskini niskiej lecz bardzo

szerokiej i głębokiej na kilka metrów. Na prawo od wejścia spostrzegliśmy dość znaczny rów, wykopany w piasku, a na nim ślady pazurów pantery i skrawki skór jakiegoś małego zwierzątka.

Zaczęliśmy badać jaskinię i wtedy to wykryliśmy bardzo ważną rzecz. Na przeciwległej od wejścia ścianie spostrzegliśmy jakieś znaki, nakreślone za pomocą czerwonego, miękkiego kamienia może naturalnej, stwardniałej gliny, której warstwy można było dojrzeć tu i ówdzie. Były tu głowy bawole, umieszczone w różnych kierunkach, kółka, przekreślone kwadraty, strzały, podobne do run aryjskich, figury, przypominające okulary, — znaki pospolite w magji arabskiej oraz inne.

Posiadam dość marną fotografię tych napisów, bo w jaskini było prawie ciemno, a ogólne zabarwienie jej było ciemno-brunatne, lecz przeglądając i badając te znaki, znalazłem duże podobieństwo ich z temi hieroglifami, które znaleźć można na kamieniach z napisami cheyckimi, należącemi do ludu Keta, podług egipskiej pisowni i Chittin jak go nazywa-Biblja, a należącego do rasy Alaradyjskiej, pokrewnej Armeńczykom, Frygijczykom, Lidom, Kapadokom i td., ze znakami umieszczonymi na

Chananejskiej „Stelię Meszy“, na kamieniach fenicyjskich, — słowem są to znaki pochodzenia semickiego.

— Mogłyby to być jeszcze napisy znacznie bliższego do Afryki podzwrotnikowej ludu, a mianowicie Tuaregów, posiadających własną pisownię, lecz alfabet języka „Tamaszek“, którym posługują się Tuaregowie, nie posiada znaków, znalezionych w opisywanej jaskini, zresztą nie ma żadnych wskazówek na to, aby Tuaregowie wschodniej Sahary, docierali aż tak daleko, bo nawet w północnej Kaarta nikt nigdy o nich nie słyszał.

Murzyni, których wypytywałem o pochodzenie tych napisów, tajemniczo kiwali głowami i mówili, że to „dawni ludzie, tu mieszkający, znaki te pozostawili po sobie“.

Byłem i jestem tego przekonania, że wykryta przez nas jaskinia zasługuje na uwagę archeologów, a więc nazwałem ją, „grota Polonja“, co zarejestrowałem specjalnym listem urzędowym, złożonym na ręce Gubernatora Sudanu P. Terrason de Fougères.

W taki to sposób pantera doprowadziła nas do „groty Polonji“, gdzie niegdyś nieznanymi Semici—najeźdźcy lub przedsiębiorczy kupcy, pozostawili po sobie te przez nikogo dotąd nie od-

czytane znaki, gdyż nikt oprócz nas nie docierał do tej ukrytej w dżungli afrykańskiej jaskini.

Odwiedza ją tylko pantera, polująca tu na szczury skalne i nietoperze, mające w jaskini wygodną siedzibę.

W każdym razie, należy stwierdzić, że w tej przygodzie mieliśmy przewodnika niezupełnie powszedniego bo — panterę.

Rozdział V

ŻYCIE i PRACA „BIAŁYCH”.

Na wrogiej ziemi podzwrotnikowej Afryki, wśród czarnych szczepów i dzikich zwierząt, pod gorejącem słońcem, w zabójczych oparach dżungli — prowadzi cywilizacyjną pracę około dwóch tysięcy „białych”. Są to Francuzi — urzędnicy, koloniści i kupcy.

Zaledwie dwa tysiące pośród niemal dziesięciu milionów murzynów! Należy sobie dobrze zapamiętać te dwie liczby.

Mniej więcej do 2-ch lat może bezkarnie przeżyć w tych szerokościach geograficznych biały człowiek, poczem powinien odjechać na 6—8 miesięcy do Francji, aby wytchnąć i do równowagi doprowadzić cały swój organizm, znużony, znękany, powiem więcej — zrewoltowany.

Sześć miesięcy spędziliśmy w klimacie Zachodniej Afryki francuskiej, robiliśmy tam

duże wysiłki fizyczne, lecz nie oddziało to na nas bezpośrednio i natychmiastowo. Mogliśmy i możemy fizycznie wytrwale i długo pracować umysłowo i mięśniowo, a jednak mamy wciąż jakieś dziwne uczucie czegoś nienormalnego, co zachodzi w naszych organizmach wytrąconych z „równowagi fizjologicznej“.

Prawdopodobnie, właśnie tak powinien się czuć człowiek, któremu odcięto nogę lub rękę, a który powoli zaczyna się przystosowywać do nowego, innego krążenia krwi i do ruchów.

Najwidoczniej, wszystkie organy wewnętrzne zaczęły u nas funkcjonować w Afryce inaczej: serce, wątroba, śledziona, nerwy, płuca — i teraz, gdy powracamy do zwykłych, normalnych warunków, nie mogą one odrazu przyjść do zupełnej równowagi.

Coż dopiero czuć muszą francuscy koloniści po dwóch latach, po przełknięciu ogromnej ilości chinu, ekstraktu orzechów „Kola“, Salolu, etc?

Ciągle słyszymy wykrzykniki zdziwienia:

— Ależ wcale nie opaliliście się w tej waszej Afryce?!

Słońce podzwrotnikowe, przynajmniej w zwiedzanej przez nas części czarnego kontynentu, powoduje wśród białych ostrą anemię, szcze-

gólnie zaś u kobiet i dzieci, które mają blade, przezrocyste twarze, drżące ręce i usta. Bakcyle febry, te nieuniknione, aczkolwiek nie zawsze się obajawiające wyraźnie zarazki trujące europejczyka, wpływ chiny i jadu gryzących much i pajaków, czynią głębokie zniszczenie organizmu, rozkładając w nim krew i zatruwając ją.

W takich warunkach upływają „białym” lata pracy i — biada temu, kto zlekceważy sobie konieczność wypoczynku. Afryka się zemści na śmiałku! Afryka rzuci nań hufce złych demonów, a te zburzą w nim wszystko, jak pleśń zamieni drzewo w próchno, zakłóci mózg człowieka szalonemi niezdrowemi myślami, które doprowadzić go mogą do szaleństwa, furji, a nawet krwawej zbrodni.

W takich warunkach ciągłego niebezpiecznego obcowania z czyhającą chorobą i śmiercią pracują tu Francuzi, głosząc wielkie idee wolności, równości i braterstwa, poszanowania godności i praw człowieka i szerząc cywilizację.

Zwykli ludzie, nieznający Francuzów dostatecznie głęboko, powtarzają utarty frazes o tem, że są oni marnemi kolonizatorami.

Tak jest; z punktu widzenia bezwzględnego

eksploatowania barwnych ludzi wyciągania i wybijania zysków z kolonij, Francuzi są słabi.

Lecz twierdzą, że w tym okresie, gdy ludy barwne energicznie zażądają od białych uznania swej samodzielności etnicznej i społeczno państwowej, co będzie końcem kolonizacji europejskiej, — Francja jednak będzie jeszcze przez czas dłuższy posiadała swoje kolonie afrykańskie.

Wychodzę w tej kwestji z tego założenia, że francuska administracja stara się o wzajemne zrozumienie się białych i czarnych na podstawie stopniowego przyłączania czarnych ras do kultury i światopoglądu europejskiego. W tym celu zakładają w swoich kolonjach szkoły powszechne i fachowe, wypuszczając z nich lekarzy, weterynarzy, akuszerki, nauczycieli, telegrafistów, techników, kandydatów na urzędników i wreszcie robotników wykwalifikowanych, wszyscy ci, „nowi murzyni” mimo woli nawet podnoszą poziom zapotrzebowań życiowych swych rodaków, co jest najkonieczniejszym powodem do przyjęcia zewnętrznej kultury materialnej, a więc do rozwoju handlu i przemysłu, do głębokich zmian socjalnych przy pomocy czynników tubylczych.

Widziałem rezultaty takiej polityki, bo już

w niektórych wsiach murzyni-fachowscy wprowadzają do życia czarnych szczepów nieznanne dotąd przedmioty codziennego użytku, jak na przykład meble, tkaniny, wozy, pługi i różne narzędzia w rodzaju pił, hebli i tp.

Nauczycielstwo murzyńskie, uświadamiając swoich wychowanców w kwestjach postępu cywilizacyjnego w Europie, budzi w nich pociąg do nauki i kulturalnego rozwoju.

Medycyna jednak czyni najwięcej. Skierowana jest ona na ulepszenie higienicznych warunków życia murzynów, na walkę z degeneracją i wymieraniem, a szczególnie na zmniejszenie wypadków śmierci wśród dzieci, dochodząc do znakomitych wyników.

Jako przykład wpływu medycyny na polityczną psychologię murzynów, wskażę jeden wypadek, którego świadkiem byłem podczas odbytej podróży.

Na południo-wschodzie kolonji Wysokiej Wolty i na północy Wybrzeża Kości Słoniowej zamieszkuje szczep Lobi. Jest to szczep najbardziej oporny, nieufny i wrogi w stosunku do białych. Nieraz poważne trudności powstają tu dla francuskich władz, usiłujących zrealizować tu jakieś nowe poczynania. Te trudności są nieraz o tyle ostre, że właściwie jedynym wyjściem

byłoby wysłanie do kraju Lobi zbrojnego oddziału karnego. Jednak władze francuskie do tego sposobu się nigdy nie uciekają. Idą do celu inną drogą.

Rzeczywistość afrykańska znakomicie jej w tem pomaga. Podczas mego pobytu w kraju Lobi, właśnie miał miejsce jeden z takich wypadków.

Lobi odmówili miejscowemu administratorowi naturalnej powinności, polegającej na przeprowadzeniu nowej drogi automobilowej.

Po naradzie z administratorem, gubernator, dobrze obeznany z życiem kraju odwołał urzędników, a na ich miejsce posłał trzech lekarzy. Ludność nieufnie spoglądała na nowych „białych” nie rozumiejąc, poco tu przybyli i co zamierzają robić w ich kraju.

Wiedzieli to jednak biali lekarze, bo gdy pewnego wieczoru usłyszeli rozlegające się w kilku chatkach tubylczych przeraźliwe krzyki i jęki dzieci weszli tam, gdzie ujrzeni dość zwykłą w Lobi scenę.

Matki-murzynki „leczyły” swoje dzieci, chore na „falum”. Jest to murzyńska nazwa przykrej i ohydnej choroby, gdy całe ciało dziecka pokrywa się korą z ropiących się wrzodów.

Najczęściej „falum“ kończy się śmiercią dziecka, wyczerpując je zupełnie.

Murzynki leczą tę chorobę w sposób wprost barbarzyński. Korą drzewa „Kapak“, posiadającego duże kolce i ostre grzebienie, zdzierają wrzody ze skóry dziecka i zalewają krwawiące rany sokiem cytryny.

Istotnie, po takiej kuracji wrzody znikają na kilka tygodni, lecz później pojawiają się znowu.

Francuscy lekarze zbadali tę chorobę i wynaleźli na nią niezawodny środek. Jest nim „Stowarsol“ w pastylkach zażywanych wewnątrz. Po przyjęciu pierwszych dwóch dawek ustaje świerzb i chore dziecko przestaje gorączkować i nieustannie płakać; po ośmiu zaś dniach, choroba znika bez śladu i bez powrotu.

Zawdzięczając „Stowarsolowi“ Lobi w ciągu dwóch tygodni byli całkowicie ujarzmieni i zaczęli budować nową, szeroką drogę przez swoją dżunglę z pełnym zaufaniem i przyjaźnią zachowując się względem władz francuskich.

Gdy spotykam ludzi, interesujących się przebiegiem mojej wyprawy, zawsze muszę odpowiadać na jedno, ciągle powtarzane pytanie

o sposobach lokomocji w zachodniej Afryce francuskiej.

Francuzi przecięli cały olbrzymi zachodni blok, objęty Nigrem, siecią dobrze pomyślnych dróg penetracyjnych. Są to drogi kołowe, w zupełności zdatne dla ruchu automobilowego. Na rzekach, co prawda, jeszcze nie ma mostów, a przeprawa odbywać się musi na promach, lecz to bynajmniej nie przeszkadza ruchowi. Większa część tych dróg jest mało uczęszczana przez europejczyków, a na nich często można spotkać stadka antylop, kuropatw i dzikich perliczek, w nocy — panterę i lwa, a nad rankiem słonia, lecz drogi są dobre i w ciągu całego suchego okresu starannie podtrzymywane przez miejscowe władze tubylcze.

Pierwsze ulewy majowe niszczą te drogi doszczętnie a w lipcu nikt ich już nie dojrzy, gdyż są zarosnięte wysoką trawą dżungli i młodemi krzakami karite i palm.

A jednak te sezonowe drogi zrobiły dużo, zbliżając tonące w dżungli wioski murzyńskie do ośrodków cywilizacyjnych w kolonjach. Temi drogami ciągną chorzy do szpitali i mkną automobile z lekarzami, na miejsca nawiedzone przez epidemje. Murzyni, niosąc na głowach

kosze i wory ze swemi produktami i wyrobami, kroczą temi gościńcami do miast, gdzie za sprzedane towary nabywają europejskie, nieraz nieznanne przedmioty, które, jednak, wkrótce stają się pospolitemi w codziennem życiu murzynów. Tak było z mydłem, naftą, zapałkami i tkaninami bawełnianymi, ze stalą, miedzią i naczyniami europejskimi.

Biali ludzie nauczyli murzynów kultywować bawełnę, którą przez Niger, porty Dakar i Grand-Bassam Francuzi eksportują do Europy i nawet do Polski, do zakładów Żyrardowskich; sizał, z włókiem którego tkacze robią najtrwalsze i najtańsze wory dla przewożenia towarów; trawę cytrynową, poszukiwaną przez europejskich fabrykantów wody kolońskiej i aromatycznych mydeł, kakao i kawę, świetne banany, ananasy.

Biali ludzie o tysiąc razy zwiększyli starą murzyńską produkcję orzechów arachidowych, z których w Europie fabrykują olej; podnieśli kulturę palmy olejnej, roślinnego masła „kari-to“ — tak bardzo wysoko cenionych na rynkach perfumeryjnych.

Wszystkie te towary zabierają murzynom za gotówkę ogromne automobile ciężarowe i

wiozą drogami do portów lub najbliższych stacji kolejowych.

Drogi żelazne, obsługiwane przez murzynów-urzędników, mechaników i robotników, istnieją w Gwinei; wzdłuż Nigru i Senegal, od Kulikoro do Dakaru i na Wybrzeżu Kości Słoniowej — od Buake do Abidżanu.

Rząd francuski zwraca obecnie największą uwagę na rozwój kultury bawełny w kolonjach — i w tym celu tworzy nowe tereny irygacyjne w pobliżu Nigru, przeprowadzając kanały usiłując dokonać ogromnego dzieła, które powinno zmienić oblicze Sudanu, odczuwającego na sobie najsilniej wpływ Sahary.

Murzyńscy królikowie i arystokracja na wyścigi zakłada w Sudanie i w Wysokiej Wolcie coraz to nowe plantacje bawełny, tak samo, jak to czynią ich rodacy, przygotowując nowe tereny dla kultury kakao i kawy na południu tej grupy kolonij.

Pesymiści mogą powiedzieć, że cały ten wysiłek Francuzów jest skierowany na korzyść ich Ojczyzny. Niezawodnie, że taki jest podkład materialny całej tej akcji, lecz obok tego i strona ideowa nie jest pominięta.

Największą wadą, wprost jakąś chorobą

psychiczną murzynów, jest opieszałość i brak przewidywania. Wroga natura Afryki z pewnością zrodziła tą obojętność tubylca do dnia jutrzejszego.

Badanie życia murzyńskiego dowiodło francuskim władzom, że w warunkach najbogatszych urodzajów prosa, kukurydzy, manjoku i bobów, murzyni bardzo szybko zjadają swoje zapasy i potem w ciągu 6—7 miesięcy przeżywają okres głodu masowego.

W tym okresie dorośli idą do brussy i tu się żywią polowaniem i dzikimi owocami dżungli. Dzieci są pozostawiane bez opieki i pożywienia. Zdrowy instynkt dzikiego człowieka zmusza dzieci do walki ze śmiercią głodową. W tym celu robią sobie łuki, strzelają z nich ptaki, drobne zwierzątka i ryby, jedzą ślimaki, jaszczurki i węże, zbierają owoce, jagody, korzenie.

Jednak trudne jest zadanie upolować coś w porze ulewnej, gdy ziemia zmienia się w jezioro, a dżungla tak się rozrasta, że przez jej gąszcz nawet potężny słoń przedrzeć się nie potrafi. Mimo więc wszelkich starań głód powoduje choroby — śmierć.

Francuzi, zmuszając murzynów do pracy, uczą ich daru przewidywania i mądrej eko-

nomji. Rezultaty tej ekonomji może widzieć obecnie każdy podróżnik.

Gdy się podejźdza do pierwszej lepszej wioski, wzrok mimowoli pada na dziwne, stożkowate budynki, stojące na palach, dla obrony ich od termitów i gryzoniów. Są to spichrze, gdzie czarni rolnicy przechowują zapasy ziarna dla nowego siewu i na ulewną porę roku. Na 70 proc. całej powierzchni Afryki Zachodniej masowy głód od pięciu lat nie jest już znany, na pozostałej zaś części głód trwa nie 6—7 miesięcy, lecz już zaledwie 2—3 miesiące.

Wielkie roboty spowodowały nagromadzenie gotówki na wsi murzyńskiej dającej płatnego robotnika i sprzedającej dla niego prowiant. Wolny, zapasowy pieniądz daje możliwość nabywania środków pokarmowych w okresie głodowym.

Taka działalność Francuzów i medycyna europejska zjednały śród murzynów prawdziwych przyjaciół dla białych kolonistów.

Co do medycyny, to leczenie chorób wewnętrznych, potrzebujących długich kuracji, niema wielkiego powodzenia wśród tubylców, ponieważ miejscowi czarni znachorzy-czarownicy w tych wypadkach dopomagają radykalniej i prędzej. Medycyna murzyńska zupełnie tak

samo jak tybetańska, posługuje się wprost cudowną nieraz siłą środków roślinnych. Febrę, biegunka krwawa, dyfteryt, rany w żołądku i na kiszkaach są uleczone przez znachorów w sposób błyskawiczny, lub kończą się śmiercią pacjenta, nie tyle od samej choroby, ile od działania lekarstwa, posiadającego nieraz trujące pierwiastki.

Za to chirurgia europejska cieszy się wielkiem uznaniem tubylców.

Gangrena, słoniowa choroba, niepomierne rozrastanie się kości nosowej i czołowej, narośle wszelkiego rodzaju, usuwane za pomocą noża chirurgicznego jednorazowo, szybko i radykalnie, zniewalają murzynów do przyznania europejskim lekarzom siły czarodziejskiej.

Murzyni lubią bardzo używać jodynę na rany i puchlizny i jodanek potasu na pewne dolegliwości, dlatego właśnie, że działają szybko.

Żona moja, która nieraz leczyła naszych czarnych tragarzy od zaburzeń kiszkiowych patentowanym środkiem „amidal”, działającym natychmiastowo, podczas przejścia naszego przez grzbiet Futa-Dżalon, uchodziła za czarnoksiężniczkę.

W jednej z wiosek, zaludnionej przez Fulah, miałem nieostrożność publicznie wysma-

rować jakiemuś reumatykowi kolano jodyną i dać mu do zażycia dwie pastylki aspiryny, co po kilku minutach uśmierzyło dotkliwy ból; to spowodowało do mego namiotu conajmniej pięćdziesięciu chorych, wcale nie reumatyków, a dla leczenia których potrzebowałbym innych, wcale w apteczce podróźniczej nieprzewidzianych medykamentów.

Jako lekarz, mimo „cuđownych uzdrowień” reumatyków, szczególnego powodzenia w Afryce nie miałem...

Rozdział VI

DRAMAT BIAŁYCH IUDZI

W krótkich zarysach opisałem pracę białych ludzi na czarnym lądzie. Ta praca przechodzi w warunkach nader ciężkich, spowodowanych wrogim klimatem.

Lecz warunki moralne są bez porównania cięższe.

Życie schodzi na pustkowiu, w otoczeniu murzynów, nawet nie mówiących po francusku, życie pozbawione wszelkich warunków kulturalnych, płynące w chacie półmurzyńskiej, półeuropejskiej, lichy umeblowanej i urządzonej, zawsze pełnej jadowitych gryzących owadów, jaszczurek, szczurów i nietoperzy. Dzika, niegościnna dżungla, otaczająca dom białego człowieka, obce środowisko tubylców, brak jakichkolwiek rozrywek umysłowych, bo poczta z Francji przychodzi tu czasem tylko sześć razy na rok, jeszcze bardziej zatruwają istnienie samotnego człowieka.

Samotnego..., gdyż tylko w rzadkich wypadkach Europejczyk może mieszkać w dżungli z rodziną. Najczęściej żyje na dwa domy. Sam — tu w Afryce w brussie, żona zaś i dzieci — we Francji, bo, jak już wspomniałem, kobiety a szczególnie dzieci, źle znoszą klimat tej części kolonii.

Poznałem w Wysokiej Wolcie pewnego młodego urzędnika, został przed paroma laty mianowany administratorem małej, a bardzo od stolicy kolonii oddalonej placówki.

Przybył tam z żoną, młodziutką 18-letnią paryżaneczką.

Byli bardzo w sobie rozkochani i chociaż, oprócz ich dwojga, żadnego innego Europejczyka tam nie było, mała, schludna rezydencja rządowa, z pewnością wydawała się im pałacem zaczarowanym, w jaki ją zmieniła miłość.

Trwało to jednak niedługo

Młoda kobieta zaczęła nagle chorować, słabnąć i blednąć z dnia na dzień. Każdy z administratorów francuskich w kolonijach, ma w swem rozporządzeniu aptekę i poradnik lekarski — więc młody urzędnik, przestudjowawszy książkę medyczną, rozpoczął kurację młodej żony.

Nic jednak nie pomagało i młoda kobieta gasła w oczach.

Nieszczęśliwy mąż miotał się w rozpacz, próbując coraz to nowych i nowych środków, bez systemu i należytej wiedzy. Mógłby chorą odstawić do najbliższego punktu, gdzie był lekarz, lecz musiałby mieć pozwolenie na porzucenie swej placówki. Do miasta, najbardziej szybko nogi murzyn zdążyłby dopiero na jedenasty dzień, tyleż z powrotem, a później znowu co najmniej jedenaście dni drogi z chorą w hamaku do szpitala. A tymczasem młoda kobieta była coraz słabsza i zrozpaczony urzędnik rozumiał, że umrze w drodze. Więc znowu dawał lekarstwa, zmieniał je codziennie, wczytywał się w opis każdej choroby w poradniku i doczekał się chwili, gdy ostatni promyk życia zgasł w wyczerpanem ciele żony.

Wtedy padł na szybko rozkładający się trup i począł wyc, jak głodny szakal, aż zbiegła się cała wieś i z podziwem przyglądała się rozpacz „białego”.

„Biały” oprzytomniał dopiero w nocy, gdy zaczął dolatywać do pokoju świeży powiew wiatru, podniósł się i zaczął piłować i strugać deski... na trumnę.

Przed świtem skończył i, wyszedłszy do

gaiku, znajdującego się poza domem, długo i mozolnie kopał dół w kamienistej, twardej ziemi, zawłókł się do grobu z ciałem ukochanej kobiety i zakopał trumnę własnymi rękoma.

Skończywszy z tem usiadł przed mogiłą, wsparł głowę na dłoniach, drżał całym ciałem, a później śmiać się zaczął, narazie cicho, tajemniczo, a potem coraz głośniejsze i przeraźliwej, aż zbiegli się wszyscy mieszkańcy wioski i dziwili się „wesołości” białego człowieka.

Wkrótce jednak rozeszli się, śmiejąc się i żartując, gdyż nie mogli zrozumieć, co się dzieje z tym człowiekiem; pozostała tylko jedna dziewczyna. Usiadła na progu domu administratora, lśniąc na tle białej ściany hebanowem ciałem, namaszczonej masłem „Karite” i wonnym olejkiem. Siedziała nieruchoma, pełna oczekiwania.

Wiedziała, że jest piękna, młoda i ponętna, bo mówił jej nieraz o tem poprzednik obecnego naczelnika, wesoły, rozpustny łobuz paryski i ten drugi-oficer, co przybył tu po rekruta, gdy przychodziła do niego, sprowadzana przez czarnego żołnierza z eskorty.

Czekała teraz, aże ten „biały”, co płakał i śmiał się naprzemian, rzuci na nią okiem, oceni jej piękność i nieznacznie skinie na nią, bo prze-

cież będzie mu posłuszną we wszystkim za barwne tkaniny i paciorki, za srebrne, połyskujące franki, z których kowal wiejski zrobi dla niej brzęczący naszyjnik...

Siedziała i czekała...

Może nosiła potem naszyjnik ze srebrnych franków — nie wiem, bo o tem nikt nie mówił tam, gdzie spotkałem tego tragicznego urzędnika i gdzie żadnej kobiety w jego samotnej, smutnej siedzibie nie widziałem.

Jest to jeden z niezliczonych dramatów życiowych francuskich urzędników i kolonistów w Afryce Zachodniej, a ileż innych widziałem i słyszałem tam!

Wiem, jak śmiertelnie chorych urzędników czarni funkcjonariusze odstawiali do najbliższych punktów lekarskich, włokąc ich w ciągu dwudziestu dni w hamakach przez góry, błota i dżungle, pod palącymi promieniami słońca, lub pod strugami szalonej ulewy poty tylko, aby przynieść martwe, już gnijące ciała. Wiem, jak ginęli koloniści i urzędnicy, idący z pomocą tubylcom, gdy wśród nich grasowały epidemie — i umierający na żółtą febrę, trąd i słońca, lub pod strugami szalonej ulewy po to samotnych przedstawicieli naszej cywilizacji, padł pod ciosami rogów bawolich, lub pazurów

drapieżników, mężnie stając w obronie powierzonych mu czarnych mieszkańców obwodu.

Nikt, kto tego sam nie widział, nie może ocenić całego poświęcenia i troski życiowej tych białych ludzi, rzuconych do dzikiej dżungli, do środowiska murzyńskiego, na pastwę tęsknoty za Ojczyzną, kochanymi ludźmi i warunkami cywilizowanego życia, nudów, niebezpieczeństw codziennych doraźnych i niewidzialnych, ukrytych w powietrzu, wodzie, ziemi i pokarmie, na rozpacz trudów syzyfowych. Nikt tego nie oceni należycie w Europie i nikt się nie interesuje życiem tych bohaterów i męczenników.

A ileż dramatów psychologicznych odgrywa się tam, na tle dżungli nieprzebytej!

Parę lat temu w Paryżu, narobiły dużo wrzawy dwie sztuki teatralne „Samum” i „Duch zła”, wiernie malujące życie kolonistów podzwrotnikowych. Lecz wrzawa ta, jak zwykle w wielkich miastach, skończyła się z chwilą, gdy dzienniki przestały o tem pisać, a krytycy dali marne odezwy, oceniając obydwie sztuki z punktu widzenia techniki teatralnej i zapominając, jak to często bywa, że scena jest „mówiącą księgą” opowiadającą o wszystkim, co obchodzi, raduje lub trapi ludzkość i społeczeń-

stwo. Doprawdy, gdybym się nie bał ortodoksalnej krytyki teatralnej, napisałbym sztukę z życia kolonii, gdzie charaktery ludzkie stają się bardzo barwnymi i wypukłymi, a cech ludzkie występują nieprzykryte formalnymi smokingami i monoklami. Lecz jedna taka próba moja była uważana za zbrodnię niemal i powtarzać tej zbrodni narazie nie chcę, chociaż myślę, że niektóre okrzyczane, modernistyczno-arogantckie sztuki, jak naprzykład „Wspaniały ro-gacz”, były większą, bo istotną zbrodnią, przeciwko zdrowemu rozsądkowi ludzkiej psychologii, poczuciu czystości obyczajów, poszanowania czci kobiety i estetyki.

Lecz dość o snobizmie krytyki teatralnej, bo, przecież, żadnych „prawdziwych” teatrów, a więc sztucznych drzew, pałaców, słońca, wody i twarzy w Afryce nie widziałem! Była tam przede mną olbrzymia, bezgraniczna scena, gdzie żywi, prawdziwi ludzie odgrywali dramaty i tragedje, napisane przez Naturę.

Te tragedje i dramaty nieraz zmieniają taką scenę w arenę amfiteatrów rzymskich, gdzie zabawiano widzów gorącą, najprawdziwszą, krwią!

Byłem sam uczestnikiem tych widowisk, bo były niemi... polowania.

Rozdział VII

NASZE POLOWANIE

Przedewszystkiem jeszcze raz zaznaczyć muszę, że polowania w Zachodniej Afryce Francuskiej, uważam za najlepsze na całym kontynencie, gdyż obfitość zwierzyny jest wprost zadziwiająca.

Jednak polowania te są bardzo uciążliwe, gdyż wcale nie zorganizowane, jak to uczynili Anglicy w swoich wschodnio-afrykańskich kolonjach.

Łowy w Zachodniej Afryce są łowami w dziewiczym kraju, gdzie myśliwy, posługując się murzynami — tropicielami, powinien sam wynaleźć odpowiednie tereny i zwierzynę, nachodzić się, napocić i utrudzić, aż dozna prawdziwej rozkoszy, gdy ujrzy przed sobą na odległość strzału stado wielkich antylop, bawołów, hipopotamów i słoni, lub oko w oko spotka się

z leopardem, czyli, jak go to nazywają — z panterą.

Polowaliśmy nie bardzo dużo, bo zorganizowałem swoją wprawę nie dla przyjemności, nie dla łowów, lecz dla zdobycia zbiorów przyrodniczych i etnograficznych dla naszych polskich uniwersytetów i muzeów, dla moich wrażeń literackich i dla zrobienia pierwszego polskiego filmu podróżniczego, który, mam nadzieję, rzucę na ekrany całego świata. Miałem też jeszcze inne, nieco ogólniejsze i szersze cele, lecz o nich nie będę tu mówił, tembardziej, że niejeden z moich czytelników, wiedząc o mojej podróży, sam je uirzy i zrozumie.

Polowaliśmy jednak i skosztowaliśmy strzałów do wszelkiego rodzaju drobnej, grubej i najgrubszej zwierzyny, a rezultaty nie są małe. Zawdzięczamy to niezwykłemu powodzeniu, nieraz przypadkowi, a także bardzo dobrej broni, wśród której zaszczytne miejsce zajmują polskie karabiny, specjalnie sporządzone dla mojej wyprawy przez Państwową Fabrykę Karabinów w Warszawie.

Na początku naszej wyprawy, paliliśmy się do dużych obław, urządzanych przez gościnnie podejmujące nas władze francuskie. W tych obławach uczestniczyło nieraz do trzech ty-

sięcy murzynów-naganiaczy i myśliwych Wkrótce jednak doznaliśmy wielkiego rozczarowania, gdyż na tych obławach nietylko nic nigdy nie zabiliśmy, lecz ani razu nawet nie widzieliśmy innej zwierzyny, oprócz kuropatw, frankolinów i perliczek, które są niczem dla strzelca z karabinem w ręku, wypatrującego antylopy lub drapieżników.

Obława była albo prowadzona nieudolnie, i zwierz bez trudu wymykał się w pole, lub też z wielką chytrą, a wtedy murzyni osaczali i zabijali dziesiątki antylop, dzikich kotów, małp i innych zwierząt, gdy my tymczasem bywaliśmy postawieni na takich placówkach, gdzie nawet szczury nie przebiegały.

To też później, wyłącznie przez grzeczność dla Francuzów lub jakiegoś uprzejmego królika murzyńskiego, jeździliśmy na takie polowania strzelając z kodaków, nie zaś z karabinów. Gdy byłem po raz ostatni na obławie, urządzonej przez Mohro-Naba, króla szczepu Mossi w kolonji Wysokiej Wolty, wziąłem ze sobą mój ekspres, a do niego... dwa naboje, które przywiozłem niewystrzelone, gdyż nic, ale to kompletnie nic, nie widziałem.

Daleko pomyślniejsze były nasze samorzutne polowania, gdy, wzięwszy paru murzy-

nów, zanurzaliśmy się do dżungli i tam podchodziliśmy antylopy różnych gatunków, od małych Maxwella, do dużych jak koń, bawolców (*Bubalis major*) o dziwacznie przegiętych, mocnych rogach.

Gdy się przecina dżunglę, widzi się na każdym kroku ślady zwierzyny, co prawda, — nie zawsze dobrej do jedzenia i, co najważniejsza — nieraz bardzo trudnej do znalezienia i podejścia na strzał. Do takich należą — duży jeżozwierz, (*Hystrix cristata*), łuskowiec (*Manis*) i tajemnicze prosię ziemne (*Orycteropus*).

Nieraz zdarzało się nam wpadać po pas w doły, wyryte przez te zwierzęta, słyszeć po nocy ich bieg przez dżunglę, gonić je i nigdy nie widzieć.

Dla mnie osobiście najbardziej pociągające jest polowanie na dzikie bawoły. Spotykaliśmy tu dwie odmiany — dużego, ciemno-szarego bawołu i mniejszego, rudawo-brunatnego, który odznacza się, podobno, bardziej złośliwym charakterem. Nie wiem tego z własnej praktyki, lecz naogół polowanie na bawoły jest związane z pewnym niebezpieczeństwem, gdyż zwierzę to, w szczególności gdy jest stare i samotne, nieraz atakuje myśliwego natychmiast po strzale.

Widziałem conajmniej ze czterdziestu bawołów na sawannach Wybrzeża Kości Słoniowej, gdzie naszym przewodnikiem był delegowany do mnie przez Gubernatora kolonji sympatyczny p. Burger, jeden z wyższych urzędników kolonjalnych i najlepszy tu strzelec.

Pierwszy bawół, który padł od mojej kuli, był starym samotnikiem.

Spotkaliśmy go przypadkowo. Przechodziliśmy przez rzekę Bandama i na jej błotnistych brzegach murzyn-tropiciel, noszący dźwięczne imię Konan, dojrzał świeży ślad dużego bawoła.

— „Zwierz jest blisko“... szepnął do mnie, kładąc palec na ustach.

Jednak przeszliśmy szerokie pasmo lasu, otaczającego brzeg rzeki, wyszliśmy na sawannę i wytknąwszy głowy z zarosli, oglądaliśmy ją bacznie

— „Jest!...“ — szepnął Konan, wskazując ręką przed siebie.

Istotnie, o jakie sto kroków przed sobą, ujrzałem ciemno-szarego bawoła o rozłożystych, potężnych rogach. Szedł szybkim krokiem, skubiąc trawę i zrywając młode pędy krzaków. Bił się ogonem po bokach, odganiając gryzące go dokuczliwe baki i muchy i od czasu do czasu, groźnie pochylając rogatą głowę.

Zaczęliśmy się zbliżać, kryjąc się za pojedynczymi drzewami i krzakami. Mogłem strzelać do zwierza nawet z tej odległości, lecz chodziło o to, aby mój pomocnik p. Jerzy Giżycki, mógł go dokładnie sfilmować. Nareszcie dystans się zmniejszył do 60 metrów.

Operator szybko wystawia swój aparat i zaczyna „kręcić”.

Turkot trąbki naszego „Cinexu” *) zwrócił na siebie uwagę bawołu, który najeżył sierść na karku, groźnie wyprężył ogon i pochylił głowę. Za chwilę z pewnością ruszyłby do ataku, lecz obliczywszy, że operator wykręcił już dostateczną ilość metrów, strzeliłem. Kula ugodziła zwierzę w szyję, przebiła tętnicę i zdruzgotała kręgosłup. Bawół padł na kolana, lecz się zerwał znowu i, kołując po sawannie, straciwszy widocznie przytomność, biegł w stronę lasu.

Ścigaliśmy go z Konanem i podczas pościgu wpakowałem w bawołu jeszcze dwie kule — jedną w pierś, a drugą w brzuch. Zwierz znaczył swoją drogę kałużami krwi, tryskającej z przebitej tętnicy, lecz biegł, aż się skrył w lesie.

Jednak tu, przeszedłszy kilka kroków, padł.

*) Nazwa aparatu kinematograficznego — Cinex.

Był to potężny samiec, ważący około 600 kilogramów.

Zadziwiająca żywotność zwierzęcia jest objawem zwykłym dla fauny afrykańskiej. Widziałem naprzykład małą antylopę Maxwella, przeszytą kulą z polskiego karabinu. Odbiegła jeszcze około kilometra i, gdyby nie psy murzyńskie uciekłyby nam.

Postrzelone i, zdawałoby się, martwe już ptaki, nagle podnoszą się i usiłują odlecieć, zwierzęta z potrzaskanymi głowami, bronią się zaciekle.

Mniej podbudzającym jest polowanie na hipopotamy, gdyż nawet zabity potwór tonie w nurtach rzeki i wypływa na powierzchnię dopiero po kilku godzinach. Oprócz tego strzał do hipopotama jest trudny, bo zwierz wystawia za ledwie wierzchnią część głowy, a śmiertelna kula powinna być umieszczona w czaszce, w pobliżu oka.

Zabiliśmy dwa hipopotamy, polując na nie na rzece Bandama, a czaszki ich, z potwornymi kłami, oddam do naszych muzeów.

Najbardziej zaś jest ciekawem polowanie na słonie, to też nie oszczędzałem ani swoich nóg, ani wspaniałych trzewików roboty Romana w Zakopanem, ani ubrania, które na

strzeżony porwały mi kolce krzaków i lijan, ściągając słonie w okolicach Badikaha, Dioula, Sinfra i Baufle, lecz szczęścia nie miałem.

Raz jeden byłem tuż — tuż przy słoniach. Słyszałem ich sapanie i trzask łamanych trzciny, lecz zarośla były tak gęste, bagnista ziemia tak chłupotała pod stopami, że czujne olbrzymy usłyszały nas i w oka mgnieniu zanikły w haszczach nie do przebycia.

To dopiero kląłem wtedy;

O, gdyby to działało na zwierzęta, wtedy nietylko te dwa umykające słonie, lecz wszystkie, które były w dżungli Sinfra, pokotem ległyby niezawodnie;

Szcześliwszym ode mnie był mój pomocnik — zoolog, p. Kamil Giżycki. Ten polował na ptactwo i węże w okolicach Badikaha i w gęstym lesie, na brzegach jakiegoś potoku, spotkał samkę słonia z małym.

Zwierzęta wyszły z kniei wprost na p. Kamila, lecz on, chociaż miał w ręku polski karabin, pozostając wiernym naszej zasadzie „lepszy film od kuli“, porwał za automatyczny aparat kinematograficzny „Ica“ i sfilmował olbrzyma. Dopiero wtedy strzelił, mierząc pomiędzy okiem a uchem, gdy słoń był o kilka kroków od niego.

Słoń poszedł, brocząc krwią i rycząc straszliwie.

Zoolog ścigał go do nocy, aż zgubił ślad. Odnalazł go dopiero murzyn po dwu dniach. Słoń leżał nieruchomy w kałuży krwi.

Murzyn, myśląc, że słoń już nie żyje, zbliżył się i kolbą uderzył go w trąbę. Olbrzym błyskawicznym ruchem porwał śmiałka na kiel, przebijając mu biodro.

Dopiero po kilku dniach ranny Murzyn dowlókł się do swojej wsi, skąd posłano gońca do p. Kamila. Lecz ten otrzymał już wtedy odemnie list z poleceniem spakowania bagaży i natychmiastowego wyruszenia na stację kolejową, aby zdążyć na czas do portu, skąd nasz statek odchodził wcześniej, niż początkowo obliczaliśmy.

W ten sposób słoń ten pozostał w dżungli Badikaha, lecz jeden z naszych przyjaciół, p. De Chanaud, przyrzekł mi odnaleźć go i przysłać do Polski czaszkę i kły.

Są to oddzielne epizody z naszego życia myśliwskiego. Było ich w rzeczywistości dużo więcej, lecz podaję je tu jako charakterystyczne dla polowania na poszczególne zwierzęta.

Jednak najciekawszem i dającym największą i najostrejszą emocję, jest polowanie nocne.

Zapadła ciemna noc podzwrotnikowa. Umilkły ptaki i owady. Cisza panuje wszędzie niezmacona. Czasem tylko odezwie się z wierzchołka drzewa, cykada, lub piśnie strwożony ptak.

Około godziny 10-ej lub 11-ej doleci zdala chichot hjeny, lub przeraźliwy ryk geparda. Zaczną śmigać i przeciągle jęczeć duże nietoperze. Z miękkim szumem szybować zaczną nad dżunglą tajemniczy lelek cztero-skrzydlaty...

Czas już!

Myśliwy wkłada na nogi miękkie trzewiki, wciska na głowę czepek z umocowaną doń acetylenową lampką z wielkim prożektorem i morze trawy, grupy krzaków, drzewa i gołe, zanurza się w dżunglę.

Sunie powoli, cicho, oświetlając przed sobą morze trawy, grupy krzaków drzewa i gołe, czarne, wypalone miejsca. Na 40—50 metrów wszystko widać jak na dłoni! Niby białe widma kołyszą się zarośla trzciny i suchej trawy. Ledwie dostrzegalna ścieżka zwierzęca wiję się jak chytry wąż, poprzez dżunglę.

Cisza panuje dokoła i czołga się, ślizga wszędzie, baczny, drapieżny promień lampki.

Nagle myśliwy staje jak wryty, Ujrzał bowiem, tam, na prawo, dwa czerwone, jarzące

się punkciki. Stąpa ostrożnie, skradła się, nie spuszczać z nich oka i promienia lampy. Odległość zmniejsza się powoli, zdaje się, że wieczność mija w tym skradaniu się ku nieznannej istocie. Nareszcie zalane białym światłem wynurzają się kształty antylopy. Stoi nieruchoma, skamieniała, zapatrzona w nieznanne światło, idące ku niej. Po niezręcznym strzale nawet się nie poruszy z miejsca.

W taki sposób barbarzyńscy miejscowi myśliwi tępią setki antylop i zajęcy, lecz, na szczęście, władze już opracowują prawo, zakazujące tego rodzaju polowania.

Muszę stwierdzić fakt, że my nie używaliśmy tego niesportowego sposobu na antylopy, stosując go zato w całej pełni do drapieżników.

Myśliwy sunie dalej przez dżungłę i nagle na zakręcie ścieżki staje, bo go wprost przemocą zatrzymało dwoje zielonych, pałających ślepi.

Wparły się w niego, migocą przelewającym się blaskiem, niby okrągłe flaszki napełnione fosforem, pytają i grożą zarazem.

Te zielone źrenice należą do drapieżnika.

Lecz do jakiego? Czy czai się tam drapieżna wiwera, żarłoczna cyweta, podstępny serwal, lub dziki, tygrysiasty kot, czy... przypadłszy

głową do ziemi i wyprężywszy centkowane ciało, czeka na nieznaną zdobycz leopard, a nawet lew?...

Kto da na to pytanie odpowiedź? Chyba tylko bardzo wprawny myśliwy, jak naprzykład p. Martin Chartrie w Gwinei, p. Surgens w Wysokiej Wolcie i p. Burger z Wybrzeża Kości Słoniowej...

Trzeba jednak działać szybko i stanowczo, bo myśliwy wie z opowiadań, że drapieżnik bliżej jak na trzydzieści kroków nie dopuści do siebie i zniknie w zaroślach jak widmo nieuchwytnie.

A więc... myśliwy powoli podnosi do ramienia dubeltówkę, strzela, a później biegnie tam, gdzie nagle zgasły zielone źrenice. Może chybił, a wtedy usłyszy tylko szmer trawy, rozchylającej się przed uciekającym zwierzem; może postrzelił, a wtedy znajdzie nieraz panterę, ugodzoną pomiędzy oczy.

Znam to polowanie i podczas tej nocnej włóczęgi w labiryncie dżungli gdy szukałem drapieżników, co kilka kroków spoglądając na gwiazdy, aby nie zbłądzić i nie zginać w tym morzu trzciny i krzaków, — serce mi kołatało w piersi z taką siłą, że zdawało się, iż chce ją rozsadzić.

Wiele rozkoszy myśliwskiej dostarczyć może nocne polowanie na drapieżne zwierzęta!

Teraz, gdy biegnę myślą wstecz, z głęboką wdzięcznością widzę migające mi w dżungli, przy namiotach, w karawan-serajach i po wsiach murzyńskich sylwetki moich pomocników.

Widzę moją żonę, która nigdy nie traciła dobrego humoru, zawsze uśmiechniętą i zadowoloną, pełną werwy i ognia, czy to w chwilach ciężkich przejść przez góry i dżunglę, czy podczas jej pracy nad nakarmieniem nas wszystkich i czarnych trażarzy, czy w robocie nad zbieraniem instrumentów muzycznych i żmudnego zapisywania melodji tubylczych, czy nawet podczas ataków febry, nawiedzających ją.

Widzę p. Jerzego Giżyckiego, oblewającego się potem i zjadanego żywcem przez komary i bąki, gdy pod płomiennem słońcem, wykręca pierwszy polski podróżniczy film, a później, po nocach dusznych, zamyka się w jeszcze bardziej dusznych norach i wywołuje klisze fotograficzne...

Widzę p. Kamila Giżyckiego, niezmordowanego piechura i strzelca, ścigającego z równą namiętnością jakiegoś dziwnego żuka i pasiastą antylopę; widzę go wieczorem schylonego

nad stolikiem obozowym, upudrowanego gipsem, strutego arszenikiem, gdy zdiera z cuchnących ciał zabitych ptaków i zwierząt skóry, przygotowuje je i pakuje, aby z najbliższej poczty wysłać do Polski.

Dziękuję Wam wszystkim z duszy i serca.

Lecz dziękujcie i mnie, bo to ja rzuciłem Was na długie sześć miesięcy do dżungli podzwrotnikowej, na trudy i niewyuczasy, lecz jednocześnie na chwile rozkoszne, których po miastach europejskich nigdybyśmy nie doznali.

Przypomnijcie sobie tylko ostatnie dni naszego pobytu na Wybrzeżu Kości Słoniowej!

Przypomnijcie sobie te niezmierzone laguny południowe, — turkusowe mieniące się o zachodzie słońca jak perły drogocenne, lub jak pełne tajemnicy i zagadki nierozwiązanej „święte” opale z Wan-Cziang!

Pamiętacie, jaka cisza zaległa lesiste brzegi, urywające się pionowo ku nieruchomej, martwej tafli wody? Jak ogarnęły nas, trochę smętny lecz słodki spokój, uczucie pojednania z Bogiem, ludźmi i Naturą, zrozumienie i przebaczenie, żądza dobra i piękna?

Czy pamiętacie? Czy pamiętacie, jak lśniła się purpurą słońca biała, mocarna pierś orła,

niby posąg siedzącego na szczycie wyschłego mahoniu?

Czy pamiętacie, jak bez szmeru i... bez ruchu sunęły, nie pozostawiając po sobie śladu na lagunie, czarne pirogi rybaków?

A w kilka godzin później — ten ryk, chaos, szaleństwo i potęga przyływu Oceanu, gdy biało grzywiastymi bałwanami bił w piaszczyste wydmy, broniące mu wstępu do laguny — spokojnej i pięknej, bo nie znającej wiekuistej walki o przemoc, nie żądającej ciągłych zmian i wstrząśnień!

Czyż nie myśleliśmy wtedy wszyscy czworo, że to pełna porywu, dążeń, postępu i walki cywilizacja białej rasy bije potężną falą w brzegi spokojnej spokojem umierania Afryki, chce wchłonąć w siebie jej duszę, — niezmierną, nieznaną, beztroską lagunę i szaleć i walczyć pędząc coraz dalej dalej, od krańca do krańca łądu, niebaczną na to, czy niesie na pióropuszech swych fal — szczęście lub niedolę?

Dziękujcie więc mi, mili towarzysze, bo pokazałem Wam Czarnego Czarownika, co ludzi zmienia w pantery, co umie zabijać i uzdrawiać, a który rzucił urok i na nasze dusze...

Bo oto zapomnieliśmy już o plagach, które mi nas ścigał i nękał bez litości, i z tęsknotą

zwracamy teraz nasz wzrok tam, na dalekie południe, gdzie szumią korony drzew nad świątynią bogini „Ziemi”, gdzie potulni Murzyni wysławiają obcego im Allacha i rodzinne gri-gri; gdzie męczeńskie a szlachetne życie pędzą Francuzi-zwiastuni chrześcijańskiej cywilizacji, gdzie przebiegają dżungle stada bawołów i antylop, gonionych przez panterę, i gdzie, niby namiętny, dziki kochanek, Ocean, rozśpiewany i gorący, usiłuje porwać piękną, słodko-omdlewającą lagunę — w swoje potężne ramiona.

KONIEC.



Następna książka № 46.

STANISŁAW STRUMPH – WOJTKIEWICZ

z cyklu „Cmentarze na dnie oceanów”

„Zemsta lorda Fishera”

4 ilustracje.

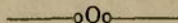
POPZEDNIE TOMIKI TEGOŻ CYKLU:

1. Korsarze 1914 r.
2. Grób na Falklandach.

Cykl ten, obficie ilustrowany, oparty na źródłowych opracowaniach ang., franc. i niem.; ma za zadanie zobrazować tytaniczne wysiłki męstwa, przebiegłości i hartu, jakich areną były boje morskie minionej wielkiej wojny.

INNE DZIEŁA F. A. OSSENDOWSKIEGO.

1. Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów.
2. W ludzkiej i leśnej kniei.
3. Od szczytu do otchłani.
(*Wydawnictwo Gebethner i Wolff w Warszawie*).
4. Płomienna Północ.
5. Pod smaganiem Samumu.
(*Wydawnictwo Polskie w Poznaniu*).
6. Nieznanym Szlakiem.
7. Cud bogini Kwan-non.
(*Wydawnictwo Karola Rzepeckiego w Poznaniu*).
8. Cień ponurego Wschodu.
9. Orlica.
10. Za chińskim murem.
11. Najwyższy lot.
(*Wydawnictwo Dziel Wyborowych w Poznaniu*).
12. Po szerokim świecie.
(*Wydawnictwo B. bljoteki Domu Polskiego w Warszawie*).
13. Zbuntowane i zwyciężone.
(*Skład główny Tow. Wydawnicze Rój 95 gr.*).



Dzieła F. A. Ossendowskiego, umieszczone pod Nr. Nr. 1 — 10, zostały przetłómaczone na języki francuski, angielski, niemiecki, hiszpański, włoski, szwedzki, duński, holenderski, rosyjski, czeski, węgierski, estoński, japoński, serbski i bułgarski, a także podług pisowni Braille'a — dla niewidomych (po franc. i ang.)

Wydawnictwa „ROJU”

1) Wacław Sieroszewski „Miłość Samuraja” książka 14 ark. na pięknym papierze	2 Zł. 95 gr.
2) Jack London „Wierność mężczyzny”	1 „ 40 „
3) „ „Biały Kieł a 95 gr.	1 „ 90 „
4) „ „Miłość życia	— 95 „
5) „ „Pogarda kobiet	— 95 „
6) Twain „Największy z detektywów	— 95 „
7) Conan Doyle „Tragedja Koroska	— 95 „
8) Wańkowicz M. „Strzępy Epopei 2-e wydanie	1 „ 80 „
9) „ „Szpital w Cichiniczach	— 95 „
10) E. Sue „Czarcie wzgórze,	— 95 „
11) Jean D. Esme „Dusza Puszczy“ 2 tomy a 95 gr.	1 „ 90 „
12) Pierre Benoit „Atlantyda 2 tomy a 95 gr.	1 „ 90 „
13) J. T. Wróblewski „Jaśnie Chamstwo“	1 „ 95 „
14) Z. Rung „Handlarz żywym towarem“	— 95 „
15) Mayne Reide „Djabelska wyspa“	— 95 „
16) Rider Haggard—Potwór Heu Heu 2 tomy 95 gr.	1 „ 90 „
17) Paweł Staško „Jej wiosna“	— 95 „
18) Prof. Jan Szyć „Zasady Księgowości“ część I i II a 75 gr.	1 „ 95 „
19) Prof. J. St. Cezak „Geografja gospodarstwa“ część I	— 75 „
20) St. Kocot „Zasadnicze wiadomości o handlu i jego organizacji“	— 75 „

Przesyłamy wszystkie powyżej wymienione książki jak również tomiki „Bibl. Hist. Geogpor.“ otrzymaniu należności i 20 g. na koszt przesyłki bez względu na jej wielkość. Za zaliczeniem wysyłamy przy zamówieniach nie niżej 5 zł.

114 2/24

DO 1.VII.26 r. UKAZAŁY SIĘ:

1. „Czarna msza”. J. Tuwim.
2. „Soliman i Roksolana”. Melcer-Rutkowska.
- 3. Książ Mikołaja II”. J. Łutyc.
4. „Żywot Nerona”. J. Ejsmond.
- 5. „Timurlenk”. J. Bandrowski.
- 6. „Mord Cezara i śmierć Kleopatry”. Prof. dr. Górka.
7. „Żelazna dziewica”. Melcer-Rutkowska.
- 8. „Naszyjnik Królowej”. Sierosławski.
- 9. „Bohaterowie Krzyża”. prof. dr. O. Górka.
10. „Kurtyzany Rzymu”, dr. Skarbek Tłuchowski.
11. „Kawaler Lauzun”, dr. Zajęczkowski.
- 12. „Tysiąc dziwów prawdziwych”. J. Tuwim.
13. „Gwiazdy filmowe”. L. Brun.
14. „Lady Hamilton i lord Nelson”. Rutkowska.
15. „Tajemnica pochodzenia Franciszka Józefa”. A. Nowicki.
16. „Tajemnica amuletów i talizmanów”. J. Tuwim.
- 17. „Korsarze 1914 r.”. St. Wojtkiewicz.
- 18. „Biały burnus i czarne oczy”. Piotr Lot.
- 19. „Kapitan Scott”. prof. dr. St. Nowakowski.
- 20. „J. Kr. Mośe Sisowath”. K. Sieroszewski.
21. „Piękna Doboszanka”. St. Cieszkowski.
- 22. „Ciupasem na Syberję”. W. Sieroszewski.
23. „Tzeu-Hi władczyni bokserów”. M. Kuncewiczowa.
- 24. „Z tronu na szafot”. L. Choromański.
25. „Proces Bispinga”. Adwokat Okręt.
- 26. „Zabobony myśłwskie”. J. Ejsmond.
27. „Mata-Hari, tancerka-szpieg”. M. J. Briares.
28. „Wyprawa na Ewerst”. Inż. Libański.
29. „Tragiczna miłość Oświęcimów”. W. Rutkowska.
- 30. „Dandolo, Joanna D'Arc”. prof. dr. Górka.
31. „Proces Capelle-Lafarge”. Marja Szpyrkówna.
32. „Jak zabiłem Rasputina”. Purvskiewicz.
- 33. „Grób na Falklandach”. St. Wojtkiewicz.
34. „Kochanka Franciszka Józefa”. A. Nowicki.
- 35.36. „Warszawa w ogniu” (12.V — 16.V). Wojtkiewicz, Rutkowska, Szpyrkówna.
- 37. „Skanderbeg, lew Albanii”. J. Bandrowski.
- 38. „Pnułkownik Miasojedów”. Breszko-Breszkowski
- 39. „Za kręgiem polarnym”. W. Sieroszewski.

Pojedyńcze książeczki wysyłamy po otrzymaniu (znaczkami) 40 gr. Zamawiający trzynastkę placą 2 zł. 90 gr.

III-ci kwartał (I.VII—30 IX) 1926 r.:

z cyklu „Słynne procesy”

40. dr. Hofmohl Ostrowski „Dwaj zbrodniarze”.

z cyklu „Zdobywcy i odkrywcy świata”.

* 41. prof. dr. St. Nowakowski „Zdobywanie Syberji”.

z cyklu „Polacy na szlakach świata”.

* 42. Watra-Przewłocki „John big Foot”.

(z włości między indjanami Alaski).

z cyklu „Rosja na rubieży”.

* 43. Breszko - Breszkowski. „Powstanie gruzińskie 1924 roku.

* Zawarzin, szef ochrony w Król. Polsk. „Pamiętniki”.

z cyklu „Polacy na szlakach świata”.

* 44—45 Prof. dr. F. A. Ossendowski. „Czarny Czarownik”. (relacja wyprawy 1926 r. do Afryki zach.)

* Por. Lepecki. „35 000 kilometrów lądem i morzami”. (relacja z wyprawy 1926 r. do dżungli Paragwaju).

* Wacław Sieroszewski. „Wśród kosmatych ludzi”. (z Bron. Piłsudskim na wyspach Kurylskich).

z cyklu „Cmentarze na dnie oceanów”.

* 46. St. Strumph - Wojtkiewicz. „Zemsta lorda Fischera”.

z cyklu *teatralnego*.

47. Skarbek - Peretiatkiewiczowa. „Sara Bernard”.

z cyklu „Zmierzch Habsburgów”.

A. Nowicki. „Tragedja w Meyerlinku”.

z cyklu *kryminalnego*.

* Koszko, b. szef policji polit. Ros. Imperjum „Pamiętniki”.

Gwiazdka — odpowiednie dla młodzieży. Prenumerata kwart. 2 zł. 60 gr. Zaległe natychmiast się przesyła.

Redakcja zastrzega zmiany — na lepsze.

Tłocznia T-wa „Straży Kresowej”, Warszawa, Jasna 8 tel. 80-54.

16

